EX LIBRIS

JANA CZERNECKIEGO

DROBNE

PISMA POETYCKIE.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.

DROBNE

PISMA POETYCKIE

WIKTORYNA ZIELINSKIEGO.

№ 39.

WARSZAWA,

W DRUKARNI POD FIRMĄ M. CHMIELEWSKIEGO

1842.

5.1/ K/30

138774

2368 a 1968

Lutni moja, ty ze mną! bo twe wdzięczne strony
Cieszą umysł trapiony
A troski nieuśpione
Prędkim wiatrom podają za morze czerwone.

JAN KOCHANOWSKI.

I.

ATAMAN SAWA

DUMA

(Z PIEŚNI GMINNEJ).

W Ukrainie żył przed laty
Wojewoda, pan bogaty,
Pan na Niemirowie:
Światła płoną, stoły trzeszczą,
Szlachta jedzą, piją, wrzeszczą,
Za magnata zdrowie.

I pan Sawa siadł za stołem,
Lecz coś z sercem niewesołem,
Z głową niegorącą:
Jakby w czarze krew obaczył,
Zadrżał, westchnął, pić nie raczył,
Oczy mu się mącą.

Hej! ataman urodziwy,
Zaporożec to prawdziwy
Ten pan Sawa młody;
Wódz kozackich rot drużyny,
On na polach Ukrainy
Piorun Wojewody!

Choć on Rusin,— Lachom drużba,
Wojewodzie wierna służba,
Szlachcie brat rodzony:
Drżą na okół mordu bisy,
Kiedy z błyskiem jego spisy
Świśnie miecz stalony.

Oj tak! strachy te na Lachy
Znają Sawę hajdamachy!
Choć, szatańskie syny,
Tęgo łupią, kolą, sieką,
Pańskie dzieci w kotłach pieką,
Palą ich dziedziny.

Na skrwawione adamaszki
Wloką blade śmiercią Laszki
Srogiéj żądzy łupem:
Tamci panią znieważają,
I do pani przepijają
Pańskiéj czaszki trupem!

Aż tu błyśnie huf orężny,
I pan Sawa nasz potężny
Wichrem grzmi po łozach:
„Hura! naprzód, w imię Trójcy!“
I— jak gradem trawa— zbójcy
Zbici, i w powrozach.

I niebawem gdzieś u Grodu,
Mrą na haku, albo z głodu,
Ci łamani kołem,
Tamci w sztuki ćwiartowani,
Tamci na pal powbijani
Z przewierconém czołem.

A pan Sawa nasz zwycięzki,
Już nie jednéj zbawca klęski
Wraca w szlachty koło:
Pochwalony, obdarzony,
Od wdzięczności uwieńczony
Rozpromienia czoło.

Czemuż dzisiaj w Niemirowie
Nieochoczy pić za zdrowie,
Myślom zwiesił głowę?
I tak w dumach się zanurzył,
Jakby szatan mu zachmurzył
Jasnych dni osnowę?

Czy zatęsknił, rozczulony,
Za gorącém łonem żony,
Wojak tkliwy z rodu?
Bo miał żonę hożą, młodą,
Czarującą duch urodą,
Słodszą mu od miodu.

Hej, hej! młody atamanie!
Biada temu kto w kochanie
Wierzy sercem ślepy!
Ty tu siedzisz zatęskniony,
A do twojéj młodéj żony
Pędzi czart przez stepy.

II.

Na futorze w nocnéj dobie
Głucho, ciemno jakby w grobie,
Głucho i w świetlicy;

Tylko młoda tam Sawicha
Stoi w oknie,— pono wzdycha
Piersią miłośnicy.

Wtém zagrzmiało kopytami,
Pies zaszczekał przed wrotami,
I młodzieniec gracki
Spadł jak piorun, z konia skoczył,
I do izby żwawo w kroczył
Setnik hajdamacki.

„Jak się miewasz? ha, czy zdrowo?“
Toż i słodszą tam wymową
Grają pocałunki:
Gospodyni hoża, rada,
Do wieczerzy z gościem siada,
Piją miodne trunki.

W uściśnieniu pili, jedli,
Rozhowory słodkie wiedli,
Słodszych pieszczot gońce:
A do wrzącéj szczęściem pary,
Białe śmieją się kotary,
Jak rozkoszy słońce!

Atamańska żonka miła,
Słodko z lubym się pieściła
Do samego ranka:
A nad rankiem, rąk swych wieńcem
Opasując się z młodzieńcem,
Mówi do kochanka:

„Zkąd to tobie, mój jedyny,
Takie rzadkie odwiedziny?
Ej! nie puszczę za to!
Mnie wiekami tu godziny,
Ty u innéj gdzieś dziewczyny!“—
A mołojec na to:

„Hej! jabym tu był co nocy!..
Gdyby tylko w diabléj mocy
Przepadł młody Sawa:
Wierz mi, słodkie twe pieszczoty,
Lecz ostrzejsze jego groty,
Ciężka z nim przeprawa!“

Sawicha się zadumała...
Klasła w dłonie... i szeptała...
Znać mu bardzo miło:
Bo się nagłym wzdrygnął skokiem,
I tak srogim strzelił wzrokiem
Aż się rozwidniło.

Dość rozkoszy,— już świtanie;
„Żegnaj, żegnaj mi kochanie!“—
Białe rączki ścisnął;
Jakby chwilę zemsty witał,
Ryknął śmiechem, hej! zazgrzytał,
I po stepie świsnął.

III.

A na zamku w Niemirowie,
Już ostatnie krąży zdrowie,
Porzucają gody:
Rży i zżyma się bułany,
Na nim ciężko zadumany
Jedzie Sawa młody.

Jedzie Sawa nad parowem,
A gdy żegnał z Niemirowem,
Rumak padł jak ścięty;
Padł na wszystkie cztéry nogi,
Dziko zawył chart złowrogi,
Puszczyk wrzasł przeklęty.

Zła to wróżba, ej, nie krzepi!
Moja rada wróć się lepiéj,
Wróć do Niemirowa:
Koń nie pada pod kozakiem,
A ty jedziesz prosto szlakiem,
Biédnaż twoja głowa!

Jedzie Sawa ciemnym lasem,
Pogwizduje dumkę czasem,
Serce jak na mękach:
Aż tu cztéry czarne kruki
Zakrakały między buki,
Płynie krew na rękach.

Zła to wróżba ej, nie krzepi!
Moja rada, wróć się lepiéj,
Wróć do Niemirowa:
Własny nóż twą krew rozbryznął,
Ej, nie darmoć się wyśliznął,
Biédnaż twoja głowa!

Jedzie Sawa, głową kiwa,
O swej lubéj przemyśliwa,
Aż tu między dęby
Trup wisielca!— gałąź kracze,
Wicher cienkim jękiem płacze,
Klaszczą wilcze zęby.

Zła to wróżba, ej, nie krzepi!
Moja rada wróć się lepiéj,
Wróć do Niemirowa:
Ej! nie darmo wiatr zawodził,
Gdy ci drogę trup zagrodził,
Biédnaż twoja głowa!

Jedzie Sawa, spuszcza oczy,
Z czoła zimny pot się toczy,
W sercu jemu nudno:
I bułany, jak spętany,
Między własne swoje łany
Szuka drogi trudno.

Mruga, mruga światło w dali,
A pan Sawa Boga chwali,
Przebył czarcie szlaki:
Oj! nie w porę chwalił Boga!
Tam go czeka żonka droga
W zmowie z hajdamaki,

IV.

Siedzi Sawa poza stołem,
Ze spuszczoném na dół czołem,
Lód krępuje usta:
A na niego mgławém okiem,
Pozierając żona bokiem,
Blednie gdyby chusta.

„Zkąd to tobie żal ten rzewny?
Czyś ty chory? czyś ty gniewny?
Mężu ulubiony:
Dość tej troski, dość, kochanie,
Miękkie czeka cię posłanie,
Czeka sęn pieszczony.“—

—„Ni ja chory, ni ja gniewny,
Nie wiém zkąd mi żal ten rzewny;
Lecz gdzie okiem rzucę,
Widzę jakby krew na ścianie,
Twardy sen.... twarde posłanie....
To ja się tak smucę.“

„Hej! podajcież mi do ręki
Ze słodkiemi torban dźwięki,
Niechaj, niechaj jeszcze,
Póki wola, póki doba,
W dumce spłynie mi żałoba,
Niech się z nim popieszczę.“—

I na przestrój, cichém drżeniem,
Zaczął Sawa tęskném pieniem...
Wtém trzy struny pękły:
Pękły struny,— a na dworze
Suną lasem piki, noże,
Szable w sieniach szczękły.

I do izby czerń zajadła,
Chciwym rzezi hurmem wpadła,
Czarcim śmiechem wściekła:
—„Ha! jak się masz panie Sawo!
Witajże nas, tylko żwawo,
Atamanie z piekła!“

A pamiętasz, bisów plemię,
Ileś naszych posłał w ziemię,
Lachom wierny sługa?
Niechajże nad ich mogiłą,
Płynie im pociechą miłą
Twojéj juchy struga.“

Wzięli Sawę w cztéry spisy,
Rozsrożali, jako bisy
Śród piekielnéj spieki:
Porąbali, posiekali,
Wrzący ołów w gardło lali,
W głowę bili ćwieki.

Jego skarby, jego zbroje,
Rabowali jako swoje,
Biały dwór spalili:
A Sawichę bladą, drżącą,
Łaski Bożéj błagającą,
Z sobą prowadzili.—

V.

Między boru ciemne szlaki,
Ciągną z łupem hajdamaki,
Miesiąc ledwo świeci;

Razem setnik konia zwróci,
I do czerni rozkaz rzuci:
—„Stójcież no tu dzieci!“

„Hej! mołojcy,— czy wy znacie
Komu to dziękować macie
Za dzisiejsze łowy?
Patrzcie, ot ta krasawica
Nam przedała piekielnica
Mózg mężowskiéj głowy.“

„Niechże to szatańskie dziecie
Nie rozradza się na świecie;
Nuże do tej brzozy
Po naszemu ją skrępować,
A konopi nie żałować,
W sznury jak połozy!“ (*)—

(*) Pod imieniem *połozów* znane są na Ukrainie ogromne węże.

Darmo grzeszne piersi tłucze,
Szlocha, targa włosy krucze,
Żebrze zmiłowania;
Z hajdamackiéj zbójczéj dłoni,
I sam Pan Bóg nie uchroni,
Kogo raz jej skłania.

Skrępowana już do drzewa,
Gorszko łzami się zalewa,
Bogu zleca duszę:
A kochanek jej stepowy,
Tak, ostremi do niej słowy,
Przerwał lasów głuszę:

—„Bądź mi zdrowa, pani miła,
Wnet kochanków będzie siła,
Słyszysz tam za górą,
Jaką zgrają wilki wyją,
Jak przez śniegi tu się biją
Z pieśnią swą ponurą.“

„Znaj że zdradę zdrada płaci,
Że się chyba czart pobraci
Z taką, co gotowa
Dać za rozkosz głowę męża;
Ja przy sercu nie chcę węża:—
To bądźże nam zdrowa!“

Z hukiem, śmiechem, w czarne szlaki
Ciągną chmurą hajdamaki,
Zgraja zemście rada:
A Sawichę tam u drzewa,
Strach lodowym potem zlewa,
Biadaż jej, ach, biada!

VI.

Śród poważnéj mogił ciszy,
Grono wiernych towarzyszy,
Z trumną na ramieniu,

Między krzyże, między groby,
Sunie zwolna,— hymn żałoby
Lejąc w tęskném pieniu:

„— Atamanie młody nasz!
Ty już w niebie wieniec masz
Za twój srogi skon:
My za twoją chrobrą krew,
Pogrzebowy wznosim śpiew
Przed niebieski tron.

Tyś nam dobrym wodzem był!
Z tobą jakby z matką żył
Nasz kozaczy brat:
Zacóż ci niewiary srom
Hajdamachów nawiódł w dom,
Młodych zbawił lat!

Któż nam teraz radę da,
Kiedy przyjdzie dola zła,
W zły dla Rusi czas?
Gdy spisami błyśnie łan,
Gdy z wrogami pójdziem w tan,
Kto powiedzie nas?

Sawo, Sawo, panie nasz!
Ty już w niebie wieniec masz
Zdradą żony złej:
My za twoją chrobrą krew,
Pogrzebowy wznosim śpiew,
Pokój duszy twej!“—

I śpiewając w dół złożyli,
Łzą rycerską pokropili,
Ziemią przysypali:
I uczciwszy wodza zwłoki
Trzema gromy pod obłoki,
Do domu wracali.—

VII.

A przy suchych złomów trzasku,
Po miesiąca zimnym blasku,
Wiatr gdy śniegiem kłębi:
Była radość niepoślednia,
Była uczta niepowszednia,
W lasów czarnéj głębi.—

Osrożałe wilki głodne,
Białe piersi dwie dorodne
Rwały, gryzły, pruły:
Z łona krasy i lubości
Wyszarpane kłem wnętrzności,
Ostrym zębem snuły.

W sercu z piersi wydobytém,
Zródle młodéj krwi obfitém,
Paszczą, ej! żłopali:
Czarnokosą, nędzną głowę,
Już wyżartą przez połowę
Dziką grą tarzali.

A i kruki, twardym dziobem,
Nad piękności kracząc grobem,
W martwe oczy bili:—
I z pełnego wdzięków ciała,
Ledwo jedna kość została
W strasznéj męczarń chwili.

Tylko krwawa suknia czasem,
Wzdęta wichrem ponad lasem,
Smutno zaszeleści:
Tylko czasem w lasów głębi,
Podróżnego strachem zziębi
Dziki jęk niewieści.—

VIII.

Jak polnego woń kielicha
Bujnym wiatrem rozmiotana
Ginie w dali niepoznana:—
Sawa, zbójcy i Sawicha,
Zapomniani w lat kurzawie:
Taka moja pieśń o Sawie.

II.

DUMKA STĘSCHNIONEGO.

Płyną mi łzy z oczu, płyną,
Ej! nie darmo płaczę;
Matko moja— Ukraino!
Kiedyż ja obaczę

Twoje sioła duże, ludne,
Twe szerokie łany,
Czarnobrewki hoże, cudne,
Step burzanem tkany.

Miodem, mlékiem płynny kraju,
Czemużem cię rzucił?
Gdybym to ja, istny raju,
Na twe łono wrócił!

Wiej wietrzyku, wiej ze wschodu,
Lubię gdy ty wiejesz;
Ty udzielasz piersiom chłodu,
Radość w serce lejesz.

Ty leciałeś przez Podole
Mym wspomnieniom drogie;
Wiej wietrzyku,— uśmierz bole,
Bole serca srogie.

A ty ptaszku słodkośpiewy
Czego się to smucisz?
Czemu mrokiem między krzewy
Piosnki nie zanucisz?

Pewnieś to ty wypieszczony
W Zofijówki lesie;
A niedobra, w obce strony,
Pora ciebie niesie.

Wiém czemu ci głos ustaje,
Żal trzyma się główki:
Wszędzie znajdziesz piękne kraje,—
Nigdzie Zofijówki.

Wróć się, wróć się w nasze strony,
Mój śpiewaku mały;
Niech odbiją twoje tony
Ukraińskie skały.

Powiedz mojéj miłéj stronie,
Matce— jeśli żyje,
Że choć dusza w gwiazdach tonie,
Serce do nich bije.—

Mów, jak smutek czoło ciemi,
Łza jak z oczu płynie....
Ach! najmiléj między swemi,
W bujnéj Ukrainie!—

III.

DO E***.

Czy pogodne lśnią niebiosy,
Czyli słotne wichry świsną,
Czy przyjazne są nam losy,
Czy troskami nas przycisną,
Zawsze wesół śpiewam sobie,
Gdyś ty przy mnie— ja przy tobie.

Gdy gorąca pierś ma wzdycha
Do złoconych uciech świata,
Ubogiego świat odpycha,
Albo dumą go przygniata;—
O! szczęśliwym w takiéj dobie,
Gdyś ty przy mnie,— ja przy tobie.

Nieraz serce pełne ducha,
Złotopłynną pieśń wyleje;
Chociaż gminnik jej nie słucha,
Lub szyderca z niej się śmieje:
Słodziéj sercu, choć w żałobie,
Gdyś ty przy mnie,— ja przy tobie.

Lecz i zapał już mój gaśnie;
Już i rozkosz mnie nie nęci;
Chociaż srogo złość mnie draśnie,
Ledwo mi się łza zakręci,
I spokojny dumam sobie,
Gdyś ty przy mnie,— ja przy tobie.

Tyś mi tylko wierna, tkliwa;
Tyś jest stróżem mym aniołem;
Oby dola nam życzliwa
Zawsze dała żyć tak społem;
I gdy kiedyś legniem w grobie,
Bądź ty przy mnie,— ja przy tobie.

IV.

SANNA

Pada śnieżek, pada,
Ściele nam się sanna;
Toż-to będzie rada
Czarnobrćwa Hanna.

Weź koniki
Sokoliki,
Do saneczek wprząż, wprząż
Hej! do Hanki,
Do kochanki,
Lotem ptaka dąż, dąż!

Swiecą gwiazdy, świecą,
Droga jakby mléko;
A koniki lecą,
I już niedaleko.
Tam za lasem,
Słodkim wczasem,
W dworku luba spi, spi:
Że wnet błysnę,
Że ją ścisnę,
Biédna, ani śni, śni.

Ha, już i u bramy,
Już i przy dworeczku;
Stuk, stuk, zastukamy
Handzi w okieneczko.

A biédaczka,
Nieboraczka,
Tak się zlęknie— strach, strach!
Płonna trwoga
Moja droga,
Jam to!— „tyś to!“— ach, ach!

Rzucajże łóżeczko,
Moja ty pieszczotko;
Moja przepióreczko,
Witajże mnie słodko.
Do twojego,
Do miłego,
Spiesz się, jestem sam, sam:
I gorące,
A w tysiące,
Pocałunki dam, dam!—

V.

TRZY PIEŚNI.

(NAŚLADOWANIE UHLANDA).

Sród błyszczącéj złotem sali,
Książę Masław tron zasiada;
Tuż przy boku Starszych rada,
A dworzanie w głębi stali.

„Któż mi, z tronu pan zawoła,
Najpiękniejszą pieśń zadwoni?
Menestrele! który zdoła
Zyskać wieniec dla swych skroni?“—

I przebiwszy dworzan tłum,
Piękny młodzian szedł przed tron,
W ręku trzymał dźwięczną gęśl,
A u boku ściskał miecz;
I przy samym księcia boku,
Rzekł, hamując zapęd kroku:

„Ja trzy pieśni umiém, panie!
Piérwsza to, żeś mą Aldonę
Zdradą porwał mi tyranie,
Porwał mi kochankę, żonę!“

„Druga moja krótka pieśń:
Wraz się ze mną mieczem zmierz!
Ja, lub ty, w grobową cieśń!
Mnie, lub ciebie diabeł bierz!“—

I wraz z tronu pan zeskoczy,
I zaiskrzy piekłem oczy,
I szczęknęły dwie szablice
Jak piorunne błyskawice.

I nim z dziwu tłum ochłonął,
Już na gardło bój się zwiódł:
Książę leżąc ducha zionął,
A ten nogą pierś mu gniótł.

„Terazj— woła jak szalony,
Słuchaj, to mój trzeci śpiew:
Jam to, jam to z twego serca
Czarną twą wytoczył krew;

Giniesz podły żon wydzierca,—
Giń że z czartem!— jam zemszczony.

VI.

PIOSENKA MYŚLIWSKA.

Hej! myśliwcze, hej! gajowy,
Niechaj żyją knieje, łowy!
Nuże razem w głośny chór:
Vivat nasza myśl swobodna,
I zabawa mężów godna,
I szlachecki biały dwór!—

Niechaj żyje wieś spokojna,
I piosenka z sercem strojna,
Celna strzelba żartki koń:
I dziewica, czarownica,
Złotowłosa, krasnolica,
Modre oczy, biała dłoń!

Hej! myśliwcze, hej! gajowy,
Już skończone nasze łowy,
Nuż w donośny, znany róg!
Aż usłyszy tam dziewczyna,
I wyleci jak ptaszyna,
Na zielony, kwietny smug.—

VII.

Z LORDA BYRONA.

W chwilach które rozkoszy poświęcamy skrycie,
Nieraz do mnie z westchnieniem wołasz: „moje życie!“
Słodkie słowa! do szczęścia jużby mi starczyły,
Gdyby młodość nie więdła, nie szła do mogiły.
Ach! i najsłodsze chwile wiodą nas do skonu!
Nie powtarzaj więc słów tych anielskiego tonu;
Albo mów: „moja duszo!“— Może w istot rzędzie,
Choć dusza. tak jak moja miłość, wieczną będzie.

VIII.

OCZEKIWANIE.

Hanno, Hanno czarnowłosa,
Świeci miesiąc już;
Błyszczą gwiazdy, srebrzy rosa,
Słodka północ— tuż!

Spiesz się, już cię woła dawno
Dźwięk słowiczych nut;
Spiesz się, już ja dawno, dawno,
Czekam u twych wrót.

Hanno, Hanno modrooka,
Rzucaj luby wczas:
W swoich cieniach noc głęboka
Skryje wiernie nas.
Spiesz się, już cię woła dawno
Szum gajowych nut;
Spiesż się, już ja dawno dawno,
Czekam u twych wrót.

Hanno, Hanno krasnolica,
Drugi pieje kur;
Już bezpieczna tajemnica,
Miesiąc z tyłu chmur!

Spiesz się, już cię woła dawno
Szmer strumienia nut;
Spiesz się, już ja dawno, dawno,
Czekam u twych wrót.

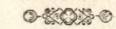

Hanno, Hanno białoszyja,
Śmiało, rzucaj próg;
Smiało, luba!— niebo sprzyja,
Nie przeszkodzi wróg.—
Ach, to ona!— Usłuchała
Mej piosenki nut;
Jak ptaszyna wyleciała...
Już, już i u wrót.

IX.

DO GWIAZDKI.

Gwiazdko moja coś błyszczała
Gdym ja ujrzał świat,
Czemu to tak, gwiazdko mała,
Twój promyczek zblad'?

Czemu już mi tak nie płonie,
Jak w dziecięcych dniach,
Gdym na matki igrał łonie,
W malowanych snach?

Prędkoś, prędko żeglowała
Po niebieskiém tle;
O gwiazdeczko moja mała,
Źleś ty wiodła mnie!
Zartkoś biegła śród niebiosów,
Jam też chyżo żył,
I z rozkoszy złotych kłosów,
Spiesznie wieńce wił.

Zgasła młodość, zwiędły wieńce,
Pożółkł życia maj,
I zapały, i rumieńce,
Cudny złudzeń kraj.

Wszystko teraz przy mnie kołem
Mgła jesienna ćmi,
Ach, bo blada nad mém czołem
Ma gwiazdeczka tkwi.

Gwiazdko moja, dawne życie
W twym promyku wznieć,
Nie w zamroczu,— na błękicie
Jeszcze dla mnie świeć.
Niech me serce jeszcze zazna
Doli młodych lat,
Nim cię ręka pchnie żelazna
W zasłoneczny świat.—

X.

DZIEŃ DOBRY.

Już na niebie lśni słoneczko,
W nic się rozwiał nocny cień;
Już w okienko twe Haneczko,
Złotém okiem patrzy dzień.

Zbudź się, zbudź się z jasném czołem,
Snów miłośnych rozpędź brzask,
W uściśnieniu, będziem społem
Na przyrody patrzać blask.

Już po kniejach, po czaharach,
Brzmi weselem ptasząt chór;
Hoże trzody grają w jarach,
Złote fale płyną z gór.
Wonny wietrzyk słodko dmucha,
Pszczół na kwiatach brzęczy rój;
Rozkochany gołąb grucha,
Niebo zalał modry zdrój.

Zbudź się, zbudź się, wstań Haneczko,
Dość rozkoszne mary śnić;
Czas otworzyć okieneczko,
Blask przyrody duszą pić.

Na dzieńdobry oddam tobie
Róż, fijołków, krasę, woń;
Pocałuję w oczki obie,
I przycisnę k'sercu dłoń,

XI.

NASZA PIESZCZOTA.

Jedną tylko mam ja chwilę,
Chwilę rajskich kras i woni,
Kiedy na mnie patrzysz mile,
Gdy mam twoją dłoń w mej dłoni.

Innym nieba z swej szczodroty,
Dały w uciech żyć potoku;
Dla nas, cały skarb pieszczoty
W tknieniu dłoni, w tkliwym wzroku.

Lecz czyż każdy w ziemian tłumie
Zna co czystsze zachwycenie?
Każdeż czucie pojąć umie
Uścisk dłoni, ócz pojrzenie?

Więc pod wyrok skłońmy skronie;
Rzućmy światu uciech fale;
Niechaj innym szczęście płonie,
My zdaleka bądźmy stale.

Lecz samotność gdy życzliwie
Skryje nas na wiernem łonie,
Patrzmy tylko na się tkliwie,
I rozmowne łączmy dłonie.—

XII.

CHWILA ZAPAŁU.

Brzmijcie, brzmijcie struny moje!
Niechaj słodka władza pieni,
Duszy, serca niepokoje,
W wyobraźnych kwiatów zwoje,

Czarodziejsko, bujnie wieńczy,
Nim mrożący dech jesieni
Skazi klejnot mych płomieni,
Fantastyczne moje światy
Z archanielskiéj odrze szaty,
Wonne kwiaty me wypleni;
I zagasi żar młodzieńczy!—

Brzmijcie struny!— niechaj jeszcze
Brylantowe moje mary
Raz obaczę, raz popieszczę,
Raz ze słodkiéj rojeń czary
Duszę, serce me napoję,
Nim zamarzną uczuć zdroje!—

Może jutro,— dzisiaj może,
Niezbadane słowa Boże
Piorunowym zagrzmią głosem:
„Żegnaj z ziemskim gorszkim losem!“—

O! za ziemskie nim krawendzie
Uwolniony duch uniosę,
Brzmijcie struny, brzmijcie pienia!
Siejcie słodką, wonną rosę,
Rosę dumań i natchnienia.
Niech dla ziemskich moich braci
Myśl ma święty dług wypłaci
Nim w grobową pójdę cieśń!

Niech dłoń braci mej pamięci
Choć najmniejszy kwiat poświęci!
O! niech tutaj po mnie będzie
Chociaż jeden ślad istnienia!
Chociaż jedna skra myślenia!
Chociaż jedna— wieszcza pieśń!

XIII.

PORANEK SIELSKI.

Już światła zdrój pozłaca świat,
Zwilżony rosą błyszczy kwiat,
Nadzieją lśni zieloność drzew:
Już brzęcząc pszczółka zbiera miód,
Wesołych słychać odgłos trzód,
I ptaszki ranny nucą śpiew.

Z jeziora wstaje śnieżna mgła,
Na wdzięcznéj fletni pasterz gra,
Owadów leśnych chmura brzmi:
Rozkoszną łąki sieją woń,
Dziewice w kwiaty wieńczą skroń,
Rzeźwiący potok w górach grzmi.

Na błoniu hasa stepów syn,
U stawu huczy, szumi młyn,
Z czołenka rybak rzuca sieć:
Powstawszy z łoża ledwo świt,
Z piosenką, chociaż znojów syt,
Pospiesza w pole czujny kmieć.

I moja Hanna wyszła już,
Oddychać wonią kraśnych róż,
Motylki lekką stopą gnać:
Ach, gdyby można tam z nią być,
W różanych krzewach z nią się skryć,
Z kochanych ustek rozkosz ssać.

Lecz oto tam kościelny dzwon
Zwołuje lud przed Niebios tron,
Od Boga zacząć nowy dzień:
Za ojców zmarłych spokój dusz,
Za łaskę dzieciom, plenność zbóż,
Pobożnych słyszę nutę pień.

I ja nad brzegiem idąc wód,
Stworzenia kornie wielbię cud,
Z prostaczych modłów biorę wzór:
Nad polnych kwiatów lżejszy puch,
Natchniony w górę wznoszę duch,
I hymn mej myśli łączę w chór.

XIV.

OSTATNIE SŁOWA.

Stało się. Czegoż, czegoż mi serce
Gorszko w niemęzkiéj jęczysz niedoli?
Wszak nie od dzisiaj tyś w poniewierce,
Wszak to nie piérwsza strata cię boli.

Precz-że mi z powiek łzo ty natrętna,
Co poniewolnie płyniesz mi zcicha;
Drogich nadziei perło ponętna,
Precz mi z piołunnéj doli kielicha.

O wy samotne, długie godziny!
Znam wasze tęschne, chmurne rozkosze;
Oto wam z dźwięków, z blasków krainy,
Serce na nową zdobycz przynoszę.

W rodów zagasłych olbrzymim pyle,
W dumach poważnych sercem utonę;
To może ducha wzmogę na sile,
Może pokojem czucia owionę.

Jednak, nim pieśni szczęścia donucę,
Co już boleśnie konać zaczyna,
Wprzód nim na wieki ciebie porzucę,
Słuchaj mnie jeszcze, słuchaj jedyna!

Słuchaj.... Lecz darmo chciałbym cię trudzić
Gorszkim wyrzutem płochéj niewiary;
Zagasłe iskry w popiele budzić,
Głosić w pystyni żal mój bez miary.

Żal?— po kim, czego jabym się smucił?—
O! żal mi szczerych uniesień złota,
Którem na śmiecie z serca wyrzucił,
Żal uronionych kwiatów żywota.—

Żal mi serdecznych pieśni wylanych,
Któremi ołtarz fałszywy czciłem;
I że dla twoich przysiąg kłamanych,
Oczarowaną duszę gubiłem.

Ciebie? o! ciebie, nie, ja nie płaczę;
Twojéj pamięci ja nienawidzę:
I gdy niechcący w snach cię obaczę,
Pomimowolnéj trwogi się wstydzę.

O! za miłośne jedno ściśnienie,
Leciéć na zgubę, z niebem się skłucić;
Za jedną rozkosz, całe istnienie
W piekielne ognie na pastwę wrzucić:

O! to ja umiém.— Lecz bym nikczemnie
Niewieścich względów żebrał w rozpaczy;
Zazdrośnym ogniem tlał niewzajemnie,—
Nigdy mój tego wróg nie obaczy.

Zimno cię żegna dusza zbolała,
Lecz i w nieszczęściu dumna, swobodna;
Jakby cię nigdy, nigdy nie znała,—
Boś ty miłości mojéj— niegodna.

I gdy z goryczą usta wyrzekły,
Co w pustém sercu żal wykołysał,
Zdrojem na papiér łzy mi pociekły,
I zagładziły to com napisał.—

XV.

WIWATY.

Hej! wesołość, bracia moi,
Wieńczmy w kwiaty skroń,
Niech z was każdy bardon stroi,
Weźmie kielich w dłoń.

Niech z was każdy pieśń wyleje,
Dźwięczny, raźny śpiew;
Aż się serce nam rozśmieje,
Rozpłomieni krew.

Na czarownéj rojeń fali
Lećmy w błękit, w blask!
Niech nam ziemię zaćmi w dali
Niepamięci brzask.

Ach, bo prędko życie płynie,
Więdnie uczuć kwiat;
Nuże! topmy troskę w winie,
Lećmy w cudów świat.

Wszyscy w koło, raźno, śmiele,
Uderzajcie w chór;
Ja prowadzę pieśń na czele,
Wy trzymajcie wtór.

JA.

Niech przeklęte będzie życie,
Jeśli próżno w niém patrzycie
Coby z duszą spleść:
Trza przyjaźni, trza płomienia
I miłości i natchnienia
By to życie znieść,

CHÓR.

Trza przyjaźni, trza płomienia
I miłości i natchnienia,
By to życie znieść,

JA.

Najpiękniejsza z róż wykwita
Kochająca cię kobiéta,
Wniej twe niebo miéj:
Z nią, nie czujesz gorszkiéj troski,
Z nią na ziemi los masz boski,
Żyj miłości, żyj!

CHÓR.

Z nią, nie czujesz gorszkiéj troski, itd.

JA.

Błogo! kiedy nas zasłoni
Przyjacielskiéj puklerz dłoni
Od człowieczych żmij:
Po miłości najpiękniejsza,
Lecz wspanialsza, lecz wierniejsza,
Żyj przyjaźni, żyj!

CHÓR.

Po miłości najpiękuiejsza, itd.

JA.

Lecz w miłości, lecz w przyjaźni,
Gdy cię krwawy cios podraźni,
W dumach balsam pij:

W uciech sadzie, w smutku cieśni,
Nic nad zapał, nic nad pieśni,
Żyj natchnienie, żyj!

CHÓR.

W uciech sadzie, w smutku cieśni,
Nic nad zapał, nic nad pieśni,
Żyj natchnienie, żyj!—

XVI.

JAKŻEŚ MI PRĘDKO UPŁYNĄŁ.

Żegnaj mi, żegnaj wieku mój młody,
Jakżeś mi prędko upłynął!
Ledwom na błogie puścił się wody,
Jużem do portu zawinął.

Jeszcze na drzewie mego żywota
Owoc nie cięży złocony,
A już jesienna chłosta go słota,
Liść na nim pożółkł zielony.

Ach, namiętności wicher zuchwały
Okręt mój prędko zbyt pędził:
Czas, lubo krótki, w zbytnie upały,
Listków zielonych nie szczędził.

Myśli swoboda, krasa jagody,
Zapał mój szczery przeminął;
Żegnaj mi, żegnaj, wieku mój młody,
Jakżeś mi prędko upłynął!

XVII.

POŻEGNANIE.

Mój Jasieńku, co tobie?
Czegoś zimny jak w grobie?
Drży serduszko jak listek;
I tak płonie twe oko,
I tak wzdychasz głęboko,
I w zadumce'ś jest wszystek,

— Darmo pytasz, jedyna!
Mej boleści przyczyna
Widna światu całemu;
Gród nie bratem ze strzechą;
Żegnaj, żegnaj pociecho;
Biada życiu mojemu!

— Ach, przez litość, mój miły,
W cóż się owe zmieniły
Nasze mary pieszczone?
We mnie— trudów nagrodę,
Kolców życia osłodę,
Miałeś należć— i żonę.

— Ach, tak było— przed laty!
Dziś— twój ojciec— bogaty!
Ztąd mój płynie niepokój:
On ma ziemie, szkatuły,
Jam ubogi i czuły,
Więc mi szczęścia nie rokuj.

— O! do szczęścia dziewczyny,
Mój Jasieńku jedyny,
Srebra, złota, nie trzeba:
Biały domek twój niski,
Twoje pieśni, uściski,
Staną dla mnie za nieba.

— Handziu! słówka to złote;
Ich serdeczną pieszczotę
Bóg niech szczęściem ci spłaci:
Lecz się woda z płomieniem,
Radość z duszy cierpieniem,
Bogacz z biédnym nie zbraci.

Więc mi żegnaj kochanie!
Niech to smutne rozstanie
Myśl twą czasem ułudzi:
Niechaj, niechaj me imie,
Choć w twém sercu zadrzymie,
Jeszcze kiedy się zbudzi.

Gdy już będziesz oddana
W ślubne więzy za— pana,
A rok minie za rokiem,
I, jak zwykle na świecie,
Zdrad powioną zamiecie,
Z zimném łonem i wzrokiem:

O! śród smutków topieli,
Gdzie mój domek się bieli
Patrzaj, patrzaj w tę stronę:
Tam— westchnienia gorące,
Tam— pojrzenia tlejące
Znajdziesz k'sobie zwrócone.

Ach, tak z sobą, choć w dali,
Będziem dusze spajali,
Szronem smutków sędziwi:
Przez pamiątek wysnucie,
W powtarzanéj dum nucie,
W spólnéj doli— szczęśliwi!—

XVIII.

ROZCZAROWANIE.

I jam nie zawsze gorszkie chwile miał;
I mnie się niegdy świat uprzejmie śmiał;
I jam przed laty, drobne jeszcze dziecie,
Na niwie życia zbierał wonne kwiecie:—
I jam nie zawsze gorszkie chwile miał!

I jam rozkoszy świetne mary śnił;
I jam młodości boskiém tchnieniem żył;
I moje szczęściem promieniące lice
Paliły wzrokiem dumnych serc dziewice:
I jam rozkoszy świetne mary śnił!—

O jakżeś prędko minął złoty śnie!
O jakże krótko kołysałeś mnie!
Sokolém skrzydłem ty musiałeś lecieć,
Obłędnym ogniem ty musiałeś świecić—
O jakżeś prędko minął złoty śnie!

Ach, poco było niebo życia znać?
Zatrutych kwiatów zwodną słodycz ssać,
By ledwie poznać, ledwo kochać—tracić,
I wiekiem żalu chwilkę szczęścia płacić:
Ach, poco było niebo życia znać!

Jak marny ziemskich szczęśliwości świat!
Dziewiczych wdzięków więdnie rajski kwiat,
Ognistą miłość sama rozkosz chłodzi,
Olbrzymia wielkość z nędzą w parze chodzi:
Jak marny ziemskich szczęśliwości świat!

I czémże życia człowieczego tło?
Ułudy szczątki powleczone mgłą;
W natchnienie, miłość, wielkość— wiara starta
Zasłona ludzkiéj nędzy z oczu zdarta;
I czémże życia człowieczego tło?

Wieczności! w tobie człek nadzieję ma!
Tam tylko szczęście, rozkosz, piękność – trwa
Tam nas w świętego zachwycenia łonie,
Już tchem mrożącym kłamstwo nie owionie:
Wieczności! w tobie człek nadzieję ma.--

XIX.

DO PRZYJACIÓŁ.

O! i dla was moi mili
Niechaj z serca pieśń wypłynie,
Wam, coście mą łódź zbawili
W gromonośnéj fal ruinie.

O ja żeglarz nieszczęśliwy!
Gdy mię namiętności burza,
Gdy mię dumy wir straszliwy
W niebo rzuca, w otchłań nurza:

Gdy rozumu ster stalowy
Roztopiony czuciem— pryska,
I stomyślny, stożaglowy
Okręt duszy— w przepaść ciska:

Jakże nurt ten ofiar chciwy,
Jak przebędę? jak przepłynę?—
O ja żeglarz nieszczęśliwy!
To ja zginę! to ja zginę!

Moi mili! w waszém kole
Jam się oparł na kotwicy;
Wy koicie serca bole,
Wyście słońcem w nawałnicy.

Błogosławię cud tej ręki
Co mię do was prowadziła;
Tu są dla mnie czułość, wdzięki,
Tu jest dla mnie rozum, siła.

Toteż gdy mój duch rozpłonie,
Albo w sercu pieśń rozkwitnie;
Kiedy w myśli mojéj łonie,
Jaka prawda błyśnie szczytnie:

Do was idę z myślą, z pieśnią,
Tajnie ducha tu rozlewam,
Tutaj fałsze mnie nie cieśnią,
Tum szczęśliwy!— tutaj śpiewam!

Lecz gdy ziemskich nędz widzenie
Grunt zamąci mej istoty:
Gdy owładnie duch wątpienie
O świętości wiary, cnoty:

Znowu w wasze idę progi,
I szczęśliwy'm,— gdy nawzajem,
Mnie wracacie spokój błogi,
Waszych myśli świeżym majem.

Utrapienia gdy cierniste
Czarę życia mi zatrują:
Kiedy smutków chmury mgliste
Duszy mojéj dzień zasnują:

Tkliwych, słodkich ócz pojrzenie,
Tu pociechą mnie napoi;
Bratniéj dłoni uściśnienie,
Tutaj w stałość mnie uzbroi.

Nawet przestrach sam sumienia
Na wiek wieków piekeł kaźni,
Precz odlata nakształt cienia,
Gdy go spłoszy blask Przyjaźni,

Toż nie zawsze niebo świeci;
Ach, i dla was— nie daj Boże!
Kiedyś w ludzkich nędz zamieci,
Piorun cierpień zagrzmi może.

Wtenczas, majtek niezlękniony,
Obaczycie jak wesoło
Pierwszy skoczę w nurt spieniony,
I nadstawię gromom czoło.

I śród gromów z wichrem zmowy,
Piersią moją wir roztworzę,
I w pogodny dzień wiosnowy,
Was na kwiatach brzegu złożę.

A przebywszy zgubne tonie,
Uczujecie moi mili,
Że nie darmoście na łonie,
Mnie sierotę przytulili.

XX.

DUMKA JESIENNA.

Płyną chmury, płyną,
Mrok na ziemię pada,
Lecą i gdzieś giną
Letnich ptasząt stada.—

Tak me lata płyną,
Dni, godziny lecą,
I nad mą niziną
Szron za sobą miecą.

Mroźny wiatr przelata,
Szumiąc po przestrzeni,
Na grobowcu lata
Smętny hymn jesieni.—
Tak i w sercu mojém
Burza trosek szumi,
Ciężkim niepokojem
W piersiach dumkę tłumi.

W sinych wód kryształe
Wicher równią mąci,
Pędzi wzdęte fale,
I o skały trąci.—

Na mych licach znoje
Takież ślady ryją;
Ach, na serce moje
Takież fale biją.

Dąb na wzgórku stary,
Taki pyszny w wiośnie,
Nagie swe konary
W niebo wzniósł żałośnie.—
Ach, i ja w mym maju
Byłem inszy taki!...
Dziś, z tym dębem gaju,
Starł nas los jednaki.

Wszystko w widokresie
Co się życiem cieszy,
Wszystko w polu, w lesie,
Do mogiły spieszy.—

Ach tak, co mię strzegły,
Serca, czucia siły,
Wszystkie mnie odbiegły,
Wszystkie mnie rzuciły.

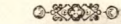

Brzmijcie struny, brzmijcie,
Przy was dumać miło,
Wy choć przypomnijcie
Że się słodziéj żyło.
Niech wasz dźwięk żałoby,
Z dzikim szumem lasów,
Święci młode groby
Moich złotych czasów.

XXI.

KRAJOBRAZ.

DO .., ZAJĘTEJ RYSUNKIEM.

Spojrzyj wokoło, spojrzyj moja miła,
Ileż się dla nas tutaj wdzięków kryśli!
Ileż tu razy nam się rozjaśniła
Nie wciąż pogodna barwa czucia, myśli;

Tutaj nas błoga gwiazda prowadziła,
Kiedyśmy słodkim społem nieraz wyśli,
Aby się niebios napawać pogodą,
I pełném sercem pomówić z przyrodą.

Widzisz za wodą te tam dzikie skały,
Złoconém czołem z chmurami mówiące?
One to, one najpierwéj widziały
Namiętne myśli w mych oczach świecące,
Tam to ja błądząc niepewny, nieśmiały,
Pieściłem mary w takiéj dali lśniące;
Tam twym obrazem serce'm moje poił,
I duszą szczęście niewcielone roił.

Ta znowu w głębi zielona leszczyna
Kędyśmy owe przechadzki miewali,
Ileż nam lubych godzin przypomina!
Tameśmy czucia wzajemne poznali,

Tameś igrała ze mną jak dziecina,
Chmurna, łaskawa, bliska znowu w dali;
Ażem twe serce złowił do zasadzki.—
O! nie zapomnę nigdy tej przechadzki,

Bliżéj przed nami jasna szyba wody,
Szum, łoskot młyna i wierzby cieniste:
Tu, jużem patrząc w tęczę twej urody,
Śmiało wymawiał słowa płomieniste;
A tyś promieniąc zorzą twe jagody,
Odpowiadała, patrząc w fale szkliste,
Przez uścisk ręki, i ciche westchnienie,
I dziewiczego łona lube drżenie.

A te na lewo gęste, mroczne krzewy,
Kędy rzeczułka krętą wstęgą płynie;
Kędy słowika rozkochane śpiewy
Nas rozczulały w gwiazdowéj godzinie.

Tu, gdy się księżyc błąka między drzewy,
Siedząc na darni w pachnącéj gęstwinie,
Łzamiśmy nieraz jagody zrosili,
I wrzące dusze w całunku stopili,

Tuż niedaleko żywe źródło gwarzy,
W cieniu modrzewia co już widział wieki;
Tu, kiedy słońce widokres rozżarzy,
Mamy schronienie od południa spieki;
Tu, gdy nas żywe pragnienie skojarzy,
Lubimy czerpać z słodkiéj dumań rzeki,
I rzeźwiąc piersi chłodami krynicy,
Długo przesiedzim w wymownéj tęschnicy.

Tam w prawo skromny kościołek drewniany,
Gdzie często społem w poranku chodzimy;
Gdzie się przenosząc duszą w kraj nieznany,
Jedném myśleniem i czuciem modlimy.

I te tam okiem nieprzesiężne łany,
Gdzie latem w złotych odmętach brodzimy,
Kędy się brzmiąca fala trzód rozlewa,
I wieśniak pieśni nieuczone śpiewa.

A nad tém wszystkiém, na nieba podnożu,
Strojne w obłoki błękitne kobierce!
W tém niezgłębioném, niepojętém morzu,
Jak słodko topić za oczami serce!
Tam w fantastycznych postaci przestworzu,
W każdém zjawisku, w każdéj gwiazd iskierce,
Widzimy, topiąc myśli w podziw niemy,
Że i za grobem jeszcze się znajdziemy.

O Moja miła! ten krajobraz cały,
Niebawem, jakże swoją postać zmieni!
Błękitne niebo skryje całun biały,
Liść zeschły ziemię zżółci, zarumieni:

Drzewa bezlistne będą smutno stały,
Szumiąc żałobnie tonami jesieni;
Źwierciadło wody zaćmi się i zetnie,
Zmilkną i pójdą ptaszki w kraje letnie.

O moja miła. weź pendzel do ręki;
Przenieś twej sztuki lubemi czarami,
Wszystkie te kształty, te przyrody wdzięki
Co tak urocznie rozmawiają z nami;
Przenieś na jeden obrazek maleńki,
Zanim je zima oszpeci szronami;
Niech naszym sercom te pamiątek skarby,
Wydrą zniszczeniu twoje żywe farby.

Jakże szczęśliwi będziem w owéj chwili,
Kiedy choć zima śmiercią nas otoczy,
Cud twojéj ręki myśli nam umili,
Wiośnianém życiem pieszcząc nasze oczy.

Obraz tych tajni gdzieśmy szczęście kryli,
Wspomnienia nasze tak słodko zjednoczy,
Gdy przy kominka kochanym płomieniu,
Dumać będziemy w długiém uściśnieniu.

Maluj, o! maluj moja ulubiona,
Nieme dla gminu przyrody świątnice;
Niechaj myśl twoja dziewicza, natchniona,
Po tronach Wiosny wodzi twe zrenice,
A czarodziejsko twa ręka pieszczona
Przeleje ducha w martwéj kartki lice.
Błogosławiony! kto w żyjącém słowie,
Farbach, lub nucie swą duszę wypowie.

XXII.

ZACHÓD SŁOŃCA

Z LAMARTINA.

I morze coraz cichsze, jak urna śpieniona
Co się zniża powoli gdy blednie ognisko,
Cofając z brzegu fali kurzące się łona,
Jakby do snu, w niezmierne wchodziło łożysko

I gwiazda dniowa w obłok spadając z obłoku,
Zawieszała nad tonią okrąg bez promieni,
I krwawą postać w morskim zanurzała stoku,
Jak okręt gorejący u kresu przestrzeni.

I pół nieba bledniało, i wietrzyka tchnienie
W zwojach żagli bez ruchu i głosu konało;
I ze wschodu w posępnéj szacie biegły cienie,
I wraz wszystko na niebie i wodzie czerniało.

I w mojéj duszy także przy światła zachodzie,
Ziemska wrzawa bledniejąc coraz cichszą była,
I jakaś istność we mnie, jak w całéj przyrodzie,
Modliła się, płakała, i błogosławiła.

I tylko przez promienną bramę zachodową
Widać było złocistéj fali kołysania,
I obłok był jak namiot z głową purpurową,
Co niezmierne ognisko nie gasząc zasłania.

I wszystkie cienie, wiatry, i otchłani fale,
Wszystko się ku tej łunie pospieszać zdawało;
Jak gdyby, co przyrodę ożywia wspaniale,
Wszystko się, tracąc światło, runąć w grób lękało!

Tędy, z ziemi wieczoru leciał pył okolny,
Na fali biała piana tędy żeglowała,
I mój wzrok długi, smutny, błędny, mimowolny,
Tam szedł, i łzą bez troski zrenica błyszczała.

Wszystko nikło, i moja dusza rozżalona,
Próżną, tęschną podobną chmurnym niebom była;
I potém jedna tylko myśl się podnosiła,
Jak wielka piramida śród pustyni łona.

O światło! dokąd idziesz? globie wypalony,
Obłoki, wiatry, fale, nocy, gdzie idziecie?
Pyle, piano, mój wzroku, duchu! w jakie strony
Dokąd wszyscy dążymy, mówcie, jeśli wiecie?

K'Tobie! którego iskrą blask ziemi poziomu!
Do którego noc, dzień, duch, zdąży i przeminie!
Ty! co życie rozlewasz w globach wszech-ogromu,
Oceanie Istności, w którym wszystko zginie.—

XXIII.

SŁODYCZE

NAŚLADOWANIE BYRONA.

Słodko jest słyszéć w północnéj godzinie,
Na oświeconéj promieńmi księżyca
Błękitnéj morza cichego równinie,
Wioseł mierzone spadki w wodne lica,
I gondalera miły śpiew w oddali.

Słodko jest patrzać na gwiazdę wieczora,
Błądzącą w morskiéj, przezroczystéj fali;
Słyszéć, gdy nocna otacza nas pora,
Wiatr kołyszący drżącym liściem gaju,
I balsamiczną woń wiosnową w maju.

Słodko jest śpiewem jaskułki się budzić;
Lub się nad zdrojem snem miłośnym łudzić,
Słodko jest słyszéć srebrne pszczół brzęczenie,
Głos młodych dziewic, słowika śpiewanie,
I niemowlęce pierwszych słów jąkanie.

Słodko jest tłumne porzuciwszy grody,
Proste wieśniaków podzielać wesele;
Słodko dla kutwy capnąć złota wiele;
Słodkie dla ojca narodzinne gody
Kiedy mu pierwszy syn został powity;
Słodko jest mścić się— zwłaszcza za kobiéty!

Słodko jest znaczny odziedziczyć spadek,
I, co za szczęście! niespodzianie słyszéć,
Że stara ciotka, wujek, albo dziadek,
Przecież nakoniec zaprzestali dyszéć.—
(Prawdażbo że to wpół-zbutwiałe plemie,
Codzień umiera, a raz umrzeć zwleka;
A tu na worki, skrzynie, miasta, ziemie,
Tak długo, długo, biédna młodzież czeka.)

Słodko jest siłą miecza, pióra, rady,
Laur piękny zdobyć ku swych skroni chwale;
Słodko jest skończyć sprawę w trybunale:
Słodko niekiedy żwawéj szukać zwady,
I zerwać!— zwłaszcza z przyjacielem nudnym.
Słodko pić stare wino w butlu brudnym.
Słodko jest bronić przeciw złości świata,
Opuszczonego człowieka śród ludzi!
Słodka jest rzewność ta którą w nas budzi
Widok miejsc gdzie nam zeszły młode lata,
Rodzinne łąki, strumienie i głazy.

Lecz słodszy, słodszy po milion razy,
W dni naszych wiośnie miód pierwszéj miłości!

Jej pamięć, jest nam w otchłani przeszłości,
Jakby wspomnienie upadku Adama.
Zgubna wiadomość dobyta, schwytana;
I cała słodycz uroku wyssana;
I wiecznym nudom otwarła się brama,
I w stepie życia długiego bez miary,
Nic już godnego tej niebiańskiéj czary!

XXIV.

REZYGNACYA.

Gdy mi wszystko naokół gorszkie i niemiłe,
Gdy mi coraz smutniejsza doba mknie za dobą,
Gdy me serce dowoli krwawych łez opiłe,
Na grobie swych nadziei czerni się żałobą:

O! moje myśli dzikie, niekarne, niestrojne!
Wy! czucia moje wiecznie wrzące, niespokojne!
Wy wierne mi zostańcie!— A ty moja pieśni,
Wzniesiona nad zatopy staréj świata pleśni,
Wydobądź wszystkie farby z uczuć moich tęczy,
Wydobądź wszystkie iskry z myśli mych ogniska;
O! niechaj śród żelaznéj utrapień obręczy,
Śród marnego poziomych uniesień igrzyska,
W tobie, pieśni swobodna, niepodległa pieśni,
Duch mój ziemską wędrówkę nie po ziemsku prześni.
Ty bądź rosą pociechy i rozkoszy kwiatem,
Ty bądź dla mnie kochanką, matką, siostrą, bratem;
Bądź mi świeżym nadziei pozagrobnych listkiem,
I gdy mi wszystko wrogiem— ty bądź dla mnie wszystkiem.
Wzywam cię, wywołuję z piersi moich cieśni,
Wypłyń, wypłyń stubarwa, drogocenna pieśni!

O! dla niej ja to, dla niej szczerym ogniem tlałem;
Dla niej najczystszych tonów w sercu dobierałem;
Natchniony jej czarownem okiem safirowem,
Jam ją pragnął wyśpiewać złotopłynném słowem,

Ach, com ja czuł, jak płonął, jak ją czcił głęboko;
Jak na samą jej wzmiankę wzbijał myśl wysoko,
Ilem miał nieba w każdym jej spojrzenia rzucie,—
Darmoby to powszednie chciało zgadnąć czucie.
Płocha, wietrzna niewiasta!— I jażem to mężem?
Jażem to dla niej zgryzot opasał się wężem?
Jażem to dla niej czucia zziębił najgorętsze?
Ach! jażem dla niej węzły potargał najświętsze?
Płocha, wietrzna niewiasta!— Słodkiém przymileniem,
Tkliwym wzrokiem, i uczuć kłamanym płomieniem,
Słowiczemi słowami, cukrową pieszczotą,
I pozorem cierpienia, i anielską cnotą,
I lubością wionących wdzięków urokami,
Rozpaliła mi serce, jak bóstwa iskrami.
Och! gdym ją tulił w tkliwém, serdeczném objęciu,
Szczęśliwy, jak mąż pierwszy przy świata poczęciu,
Jakże mnie zaręczała i słowem i wzrokiem,
Że nam przyszłość popłynie rozkoszy potokiem;
A gdym ufny niewieściéj tkliwości i mowie,
Śmiał roić szczęście niebian w rozszalałéj głowie;
Kiedym ją śmiałém skrzydłem uniósł i postawił
Tam, gdzie drobny latawiec nigdy nie zabawił;
Tam, na tej niedościgłéj gminowi wyżynie,
Kędy ziemia z swojemi cnotami, zbrodniami,

Poziomemi rozumy, marnemi strachami,
Jak drobny pyłek w światła oceanie ginie;
Gdym jej słabe, poziome uderzył zrenice,
Blaskiem rozkoszy tych wyżyn mieszkańców,
I rosząc łzą miłości pałające lice,
Chciał ją gwiazdą uczynić światła wychowańców;—
Ona głucha na górnéj harmonii dźwięki,
Wydarła się z wiodącéj po nieb'osach ręki,
I z trwożném czołem w cieniach wyrosłéj niewiasty,
Ukryła się zdradliwie między ziemskie chwasty!—

Sam więc jestem śród myśli rozpacznych powodzi,
Jak żagiel ocalały z okrętu rozbicia!
Ach! któż teraz pokaże drogę mojéj łodzi?
Kto mi czarę osłodzi niemiłego życia?
Rozbiły się i zgasły rojeń mych klejnoty;
Zniknął żywy ideał piękności i cnoty;
Darmo żal ściska serce, łzami płyną oczy,
Już nas promień zapału nigdy nie zjednoczy!
Ostatni to już rozbłysk złudzeń mych ulata,
Sam jestem, sam—w ciemnicy człowieczego świata:

Ty jedno rdzą światową niestarte natchnienie,
Ty odziéj w strój dziewiczy duszy mej marzenie,
I jako nieskalana kryształów krynica,
Odbij w pieśni kochanek niewcielonych lica;
Lica wiecznie kwitnące żywą uczuć wiosną,
I serca w iskrach pojrzeń gadające głośno,
I rozkoszne powaby nutą szczęścia tchnące,
I wszystkie owe cuda w myślach mi świecące,
Co z światów tajemniczych nie zstąpiły jeszcze,
I tylko znane ziemi przez widzenia wieszcze.
Z niemi ja, kiedy w dumach myśl moja utonie,
Pieścić będę me serce jak w Rusałek gronie,
I choć się w mojéj duszy żal i rozpacz mieści,
Lira moja spółbraciom rozkosze obwieści.—
Tutaj,— nic mię już szczęścia nie znami pozorem;
Zasklepię się sam w sobie z ducha mego tworem,
I pieśnią do snu śmierci kołysać się będę,
Nim lepszą sobie dolę może— tam!— uprzędę.

XXV.

DO KSIĘŻYCA.

Jasny na modrym nieba przestworze,
Jasny księżycu, świeć mi, świeć;
Igraj w szemrzącém pacierz jeziorze,
Z drżącym się liściem cudnie spleć.

Lubo mi, słodko przy twém pojrzeniu
Dumać śród cichéj tajni drzew;
W lat mych wiośnianych błądzić wspomnieniu,
Tęskny, miłośny roić śpiew.

Ileżem razy cudów krainy
Duszą odwiedził w taki czas!
Ileż mi boskich, w serce bez winy,
Lała nadzieja woni, kras!

Ufny jak dziecko w duszne me siły,
Jam się nad gminne żądze wzbił;
Słońca uniesień wzrok mój zalśniły,
Górne'm ja pieśni, czyny śnił.

Ale jak zalew chmurny i mglisty
Gasi kaganiec srebrny twój,
Tak mi zapału płomień przeczysty,
W dum się żałobnych odział strój

Szponem żelaznym świat ten bez duszy
Zerwał mych rojeń złotą nić;
Wszystko on ziębi, mroczy i głuszy,—
Temu co czuje— wartoż żyć?

Zacoż promieńmi olśnion twojemi,
Wierny, jedyny druhu mój,
Jakbym się nie znał z losy gorszkiemi,
Słodko mi płynie dumań zdrój?

Ach, bo mi gwiazdy milszéj od ciebie
Serce umila luby blask,
I rozczarowań, w duszy mej niebie,
Smętny, żałobny złoci brzask.

Ona to, ona, anioł mych losów,
Treścią serdecznych, tkliwych dum;
Miło mi przeto patrzysz z niebiosów,
Miło mi szepce gaju szum.

Jeśli nam kiedy tu o tej dobie
Oczy łzą szczęścia będą lśnić;
Jeśli nam serca kwitnąc przy sobie,
Będą na jawie niebo śnić!

O! niech twój srebrny korab wypłynie
Na safirowych tonie mórz;
W gwiazd złotookich świeć nam drużynie,
I w rubinowych wieńcu zórz.

A gdy już spełnię kielich piołunny,
I za nieznany stąpię próg;
Proch mój gdy ziemski zsypię do trunny,
A mą iskierkę przyjmie Bóg:

O mej mogile, gończe swobodny,
Pomnij! niebieski mierząc kres:
Milszy mi będzie promień twój chłodny,
Niźli nieszczerych rosa łez

XXVI.

DUMKA PRZY KOMINKU.

Coraz wcześniéj mrok zapada,
Cień za cieniem smutek wlecze;
Kraczą wron złowrogie stada,
Stary czas leniwo ciecze;
To i w myśli niewesoło,
Zima wkoło, zima wkoło!

Po kobiercach strojnych lata
Gorejących w zórz rubinach,
Wicher śniegi dziś zamiąta,
Po pagórkach po dolinach.
Wietrzno, mroźno, śnieżno wkoło:
To i w myśli niewesoło.

Myśl, jak struna melodyjna
Wystrojona do żałoby,
Z przyrodzeniem harmonijna,
Gdzieś ulata między groby,
Między pleśnie i ruiny,
Do zagasłych gwiazd drużyny.

Co człek kochał, czém się łudził,
Na co trwonił czucia skarby,
Wszystko chyży czas ostudził,
Blask wiośnianéj zgasił farby;
Niéma ognia, wiary niéma;
W sercu zima, w duszy zima.

Wszystka górnych baśni sława,
Co tak młodość nam czaruje,
Jak grobowa mara stawa;
Strachem, żalem obejmuje;
Nie zachwyca świat ponętny,
Człek jest zimny, obojętny.

Lecz z białego śniegów łona,
Przecież liść zielony strzeli;
Błyśnie wiosna odmłodniona,
I przyrodę rozweseli;
Znowu będą pieśni, wonie,
Bujne kwiaty, jasne tonie.

To i smutna myśl człowieka,
Chociaż ciężko serce boli,
Przecież zbytnie nie wyrzeka;
Znów się wzbija w lot sokoli,
Czystszą, wyższą miłość budzi,
Dla spółbraci, dla spół-ludzi.

Gnuśnik tylko niedołężny
Rzuca walki plac sromotnie,
Z raju czucia zbieg niemężny,
Pada sercem niepowrotnie,
Jak zeschłego gałąź drzewa,
Co się kwiatu nie spodziewa.

Mędrzec,— choć go wiek ostudzi,
Choć mu zima włos przypruszy,
Nie zapomni, widząc ludzi,
Ni o sercu, ni o duszy;
A gdzie miłość, serca bicie,
Tam jest wiosna, tam jest życie.

Więc choć śniegi kłębią wkoło,
My usiadłszy przy kominie,
Wypogodźmy smętne czoło,
I w kochanéj nam drużynie,
Serca życiem napawajmy,
Myślmy, czujmy, i kochajmy.

XXVII.

TRZY WESTCHNIENIA.

1.

Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy,
Kto chleba mając dostatek,
Prowadzi żywot uczciwy,
Śród grona drużby i dziatek.
Szczęśliwy! komu los błogi
Dał czekać jutra bez trwogi.

Lecz kiedy dolą zawisną
Wiośniane lata zmarnieją;
Gdy w biédzie wszystkie rozprysną
Sny, któreś pieścił nadzieją;
O! biada, biada takiemu!
Nie jemu szczęście, nie jemu!

2.

Szczęśliwy! o! ten szczęśliwy,
Kto w życia swojego wiośnie
Wyleje pieśni zdrój żywy,
Na bratniéj ziemi rozgłośnie,
Uczczony najmilszym wieńcem,
Dziewiczych wzruszeń rumieńcem.

Lecz kiedy duszy pałanie
Powódź utrapień ostudzi,
A w sercu tylko zostanie
Ruina, i płacz na ludzi:
O! biada, biada takiemu!
Nie jemu szczęście, nie jemu!

3.

Szczęśliwy, ten najszczęśliwszy!
Kto z lubą sercu dziewczyną,
Burzami świata wzgardziwszy,
I złotych cacek drużyną,
Tuląc kochankę do siebie,
Żyje na ziemi jak w niebie.

Ale kto w gorszkiéj kolei,
Kocha dziewczynę— anioła,
A jednéj iskry nadziei
Wyżebrać z nieba nie zdoła,
Nie jemu szczęście, nie jemu!
Piekło na ziemi takiemu!

XXVIII.

DOBRY WIECZÓR.

Dobry wieczór dobrzy ludzie,
Co u progu siedząc chatki,
Spoczywacie już po trudzie,
W gronie dziatwy i czeladki,

Gwarząc sobie zgodnie, miło,
Jak to będzie, jak to było.—
Proste, błogie wasze życie;
Myśli hoże i niewinne;
W cichéj pracy skromne bycie,
Cnoty stare, porodzinne.—
Wam, choć światuście nieznani,
Zmrok nie cięży w gnuśnéj nudzie:
Błogosławię wam, kochani,
Dobry wieczór dobrzy ludzie.

Dobry wieczór ci ptaszyno,
Co usiadłszy na czereśni,
Jakby tęschniąc za jedyną,
Rozkochane lejesz pieśni.
I wam ciche ciemne gaje,
Gdzie tak myśli spocząć mile,
Kędym dumał, tęsknił tyle,
Dobry wieczór wam oddaję.
Ukołyszcie słodką wonią,
Słodkim dźwiękiem nut słowika,

Troski, żale samotnika,
Co za sercem w świecie gonią.

Ach, jeszczebym chciał powiedzieć
Dobry wieczór tej dziewczynie,
Com tak kochał,— a niewiedzieć
Gdzie i z kim jej wiosna płynie.
Ryczy burza nad doliną
Kędy rosły bujne róże,
A ja tęschnię za dziewczyną,
A mnie w sercu płacz i nuże.

Więc gdy dusza wspomnień skrzydłem,
Za wiośnianych lat mamidłem
Leci, leci rozżalona,
I przytula się do łona
Które'm, w błogich dniach młodości,
Rosił wrzącą łzą miłości:

Dobry wieczór ci księżycu,
Co, gdym w cieniu tej godziny,

Chodził w słodkie odwiedziny,
Tak patrzałeś jasno, mile;
A jam drżący, z łzą na licu,
Przez burzany i badyle,
Tłumiąc oddech, cichuteńko,
Zakradał się pod okienko,
I na ustach niósł bez winy,
Dobry wieczór dla dziewczyny.—

XXIX.

DO MŁODÉJ WDOWY.

Widziałem ciebie, o tak! widziałem,
Ja,— co o płochéj serca pamięci,
Ja,— co o wszystkiém, wszystkiém wątpiałem
Czemu świat ślepy ołtarze święci;

Widziałem ciebie w niewieściéj chwale,
Żyjącą świętym przeszłości duchem,
I rzekłem, w szczerym serca zapale,
Kobiéto! tyś jest nie marnym puchem.

Widziałem ciebie, o młoda wdowo!
Z drogiéj postaci zimnym obrazkiem
Mówiącą, spojrzeń żałośnych mową,
I łez pamięci przeczystym blaskiem.
Widziałem twoje łata wiośniane
Cicho w samotnych dumach ciekące,
I twoje usta, lica różane,
Tylko dla dawnych wzruszeń kwitnące.

Widziałem jakeś tkliwie poiła
Serce i myśli twojéj dzieciny,
Obrazkiem twarzy którąś wskrzesiła
Tchnieniem miłości z grobów krainy.
Jak cię przez zdradnych pieszczot zaklęcia
Świat nie oderwał nowym zapałem,
Ni od obrazku, ni od dziecięcia:—
O młoda wdowo! ja to widziałem.

O! wierz mi słodka, luba istoto;
Głos to z głębokiéj myśli natchnienia;
Jeszcze mi drogie rozkoszy złoto,
Drogie nie strutych złudzeń widzenia;
Jeszczem jest młody,— i choć boleśnie
Każdy mnie ranek do walki budzi,
Żalby mi było rzucać tak wcześnie,
Rzucać na wieki świat ten i ludzi.

Lecz gdybym słodkim przeżywszy społem
Jedną, ach, jedną niebieską chwilę,
Z kobiétą—równym tobie aniołem,
Miał uledz groźnych przeznaczeń sile;
I z objęć szczęścia idąc na mary,
Gdybym zostawić miał tu po sobie
Żal taki, pamięć tak szczeréj wiary,
I wdowę z dzieckiem podobną tobie:

O! wszystkim życia gardząc urokiem,
I tak niezmierną miłością dumny,
Spokojném świat ten żegnając okiem,
Z rozkoszą chciałbym kłaść się do trumny,

I duchem z krajów nieznanych spływać,
Krążyć nad drogą dziecięcia głową,
I niewidomie zawsze przebywać,
Ach, z taką moją najmilszą wdową.

XXX.

SAMOTNA PRZECHADZKA.

Między jary, między knieje
Bieży strumień żywy, jasny;
Czy się zmierzcha, czy to dnieje,
Idę brzegiem w świat mój własny.

Gdy skowronek mnie przebudzi,
Rzucam chatkę mą poziomą,
I niepomny świata, ludzi,
Biegnę ścieżką mi znajomą.

Biegnę w jary, między knieje,
W sercu z Bogiem i natchnieniem,
Pieścić złote me nadzieje,
I podumać nad strumieniem.

Tu mi lubo, tu mi błogo,
Tu mię troski nie śmią gonić!
Choć się czucia żywiéj wzmogą,
Słodko tutaj łzę uronić.

Bieży strumień jasny żywy,
Nad strumieniem kwiatów siła,
Wschód pozłaca gaje, niwy,
A na myślach moja miła.

Tak gdy wszystko z sercem w zgodzie
Pieści czucia rozrzewnione,
O niej myślę,— i w przyrodzie
Wielbię siły utajone.

I takbym do życia końca
Chciał w zachwycie pędzić ranki,
Na wschodzące patrząc słońce,
I na milszą twarz kochanki.—

XXXI.

KOBIÉTA (*)

UŁOMKI Z WIERSZA PISANEGO POD TĄ NAZWĄ W 1833.

Jeszcze dzieło stworzenia nie było skończone:—
Ręką Boga cudownie do biegu naglone
Miliony gwiazd w przestrzeni,
Koła niezmiernych kreśliły promieni;
Młode słońce swych ogni blaski potężnemi,
Żywą przyrodę z martwéj wydobyło ziemi;

(*) Te wiersze są jedném z najdawniejszych pism autora. N. A.

Wielorakiego życia odziały ją wdzięki,
I pierwszy mąż, arcy-twór Stwarzającéj Ręki,
Mądrości wieńcem strojne wzniósł wyniosłe skronie,
I z berłem możnéj woli siadł na ziemskim tronie.
Tak od bryły do męża już wszystko stworzone:
Jednak dzieło stworzenia nie było skończone.

Jakiż jeszcze twór ujrzą zadziwione światy?
Jakiém życiem natchniony? w jakie strojny szaty?
Zda się że mąż, co berło ziemskie silnie ima,
Pierwsze miejsce pod słońcem bez udziału trzyma:
Otóż król ziemi sam się tronu zrzeka,
I dzieli go z istotą świętą dla człowieka;
Z tą gwiazdą co najświetniéj z gwiazd nowo wykwita,
A tą nieba wysłanką jest pierwsza kobiéta!
Ją stworzywszy, Bóg ziemią cieszył się skończoną,
I uczynił kobiétę swoich dzieł koroną.

. . . . . .

Wiosna się ku nam urocznie śmieje,
W hojnych bogata plonów nadzieje,
A tę nadzieję malują kwiatki:
I nasze życie, choć postarzeje,
Kiedyś w przyszłości znów odmłodnieje
A tą nadzieją są nasze dziatki.

Skoro majowy błyśnie poranek,
Widzę jak dwoje wesołych dzieci,
Tam kędy lipy cienią kurhanek,
Z chatki na trawkę igrać wyleci.

Chłopczyk poskoczył śród radości krzyku!
Znalazł kij!— na nim, jakby na koniku
Wywijając, chce panem być całéj murawy,
Walczy, depce i sieka nieprzyjazne trawy.
Jaki zapał rycerski!— wpadł na kukurudze,
I już się pławi w Turków krwi niewiernéj strudze.—

. . . . . .

Inna zabawa dziewczyny,
Inne ją myśli zajmują,
Nigdy skrwawione wawrzyny
Jej spokoju nie zatrują.

Cichéj wioski wychowanka,
Pamiętna matki zachodu,
Zbiera kwiateczki do wianka,
I już się uczy za młodu,
Strojąc lalkę w wonne kwiatki,
Żyć serdeczném życiem matki.
I tuli lalkę do drobnego łona!
zda się niemym płaczem jej strapiona,

I tak jej drogie to dziecie,
Że go nie odda za wszystko w świecie!

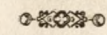

Patrzcie jak to już u dzieci,
Przyszłe życie wcześnie świeci;
Jak z zabawek się wyczyta,
Że dziewczynka jest kobiéta.—

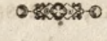

. . . . . .

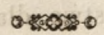

Grobowym głosem zajęczały dzwony,
Lud się pobożny do świątyni tłoczy;

Czyjże to jęk mnie dolata stłumiony?
Dla czego we łzach toną wszystkich oczy?

. . . . . .

To biédna córka, przesądu ofiara,
Srogich rodziców zbyt posłuszna woli:
Pełna goryczy stoi przed nią czara,
Jednak ją spełnia chociaż serce boli.—

Młoda kapłanko!— Ten co światy rodzi,
Twe posłuszeństwo dla rodziców błędu
Niechaj na ziemi niebem wynagrodzi;
Niechaj ludzkość oczyści z zaślepienia trędu,
I niechaj przyszłe wieki oświeci,
Aby nie mordowano na ołtarzu dzieci!—

. . . . . .

Jako na wiosnę gdy prysną lody,
Rzeki doliny zaleją,
I wnet się łąki zazielenieją
I piękne kwiaty porosną:
Tak dla człowieka przyjdzie wiek młody,
Gdy tęcza rojeń serce otoczy,
Gdy się na piękność otworzą oczy,
I dusza chęcią rozpłonie miłośną,
Miłośną, gorącą, tkliwą;
Ziemia starczyć jej nie zdoła,
Chce być w niebie, być szczęśliwą;
Czegoś pragnie, kogoś woła....

Aż tu błyśnie jej na jawie,
W snu ułudzie wypieszczona,

Istność sercem utęskniona,
Istność— żywy anioł prawie,
Młodzieńcowi błyśnie w jawie.

Istność luba,— w któréj oku,
Jak w niebieskich źródeł stoku,
Błyszczy gwiazdka czysta, święta,
Z Przedwiecznego tchu poczęta.

Istność piękna,— co na ziemi
Ponad wszystkie wyższa kwiaty;
Co nam milsza wdzięki swemi,
Nad woń ranka, zórz szkarłaty.

Istność taka,— któż to taki?
Co za jedna ta niebianka
Co błękitne zbiegła szlaki?
— To dziewica,— to kochanka!....

. . . . . .

Boska kochanko! z twej dziewiczéj ręki,
Wziął najcudniejsze świat czułości wdzięki;
W twém oku pierwszy śpiewak wyczerpał natchnienie,
I przelał w *Poezyą* swej duszy marzenie;—
Nie mogąc cię pozyskać, tyle sztuki łożył,
Że cię ma na obrazku,—i *Malarstwo* stworzył;—
Kochając, słyszał miłość kwilące słowiki,
I przemówił do ciebie tonami *Muzyki*;—
Widokiem twych śliczności duch swój rozpłomienił,
I wraz głazy z pięknością i życiem ożenił.—

Za czasów kiedy serca czulszemi bywały,
Myśl o tobie do pięknéj prowadziła chwały;

Twa wstęga zdobiąc mężów żelaziste roty,
Rodziła starowieczne, bohatyrskie cnoty.....

. . . . . .

Kochanka w sercu szlachetném młodziana,
Tajne dla gminu roznieca zachwyty;
Myśl jego w lubéj obraz przyodziana,
Cudnie się wzbija na nieziemskie szczyty.
W nią, jak w tęczę, w nią wpatrzony
Gardzi nieczystym, podłym zapałem;
Jej spojrzeniem poświęcony,
Kocha cnotę sercem całem.
Świetne goniąc ideały,
Całą duszą wre do chwały;
Zbiera laury, pieśni leje,
Gieniuszem promienieje!...

. . . . . .

O! choćbyś twojéj trzody i lepianki
Nigdy nie rzucił jeszcze od powicia,
Wieszli co miłość? co żyć dla kochanki?—
Nie szukaj szczęścia,—jużeś wyssał słodycz życia.

. . . . . .

Tylokrotnie wszelakiém cierpieniem nękany,
Człowieku! czém osłodzisz twój los opłakany?

Nieszczęsny! ja ci wskażę tę słodką istotę,
Która sama najlepiéj nagrodzi twą cnotę,
Każdą twą radość swoją radością pomnoży,
I w szczęściu twém, jedyne szczęście swe położy.

Jeżeli ciężki smutek pochyli twą głowę,—
Ona go z tobą dzieli i zmniejsza połowę.
W ubóstwie, jej choć słabe, ale szczere ramię,
Ociera z twego czoła dziennych trudów znamię,
A jeśli cię na łożu uwięzi choroba,
Czułe jej serce czarna pokryje żałoba;
Dzień i noc przy twém łożu siedzi zapłakana,
I choć sama czuwaniem nie mało znękana,
Sen od siebie odpędza, twych skinień pilnuje,
I jako czuła matka ciebie pielęgnuje.—

Jeśliś przyszedł do zdrowia,—nad twoje uśmiechy,
Niéma dla niej na ziemi silniejszéj uciechy.
Wierna w przyjaźni; w miłość i wdzięki bogata,
W raj zamienia zacisze domowego świata;

Zapomnisz że są ludzie tuląc ją do łona;—
Taką jest ta istota,— ta kobiéta— żona!

. . . . . .

O gwiazdo starych czasów! Jadwigo przeczysta!
Jakież struny dla ciebie nawiąże lutnista?

. . . . . .

Idź strapiony Wilhelmie, podaj się rozpaczy,
Już nigdy twoje oko lubéj nie obaczy!
Już się nigdy nie ujrzysz przy Jadwigi boku,
Odbity w kryształowym twych strumieni stoku;
Gdzieś ją na dzikiéj Litwie sine Niemna fale,
Odbiją z Władysławem w chrześciańskiéj chwale.

I twoja dla niej zbyt droga ręka;
I ona ciebie kocha z zapałem;
Jednak serc waszych ogniwo pęka,
Bo szczęście ludów jéj szczęściem całem.

Aby węzłem jedności spoić dwa narody,
Przenieść polski obyczaj na Litewskie grody,
Wiarą krzyża oświecić ludów miliony,
Sławę i siłę twojéj podwoić korony,
Wyrzekłaś się miłości, nasz ziemski aniele,
I twą rękę podałaś możnemu Jagielle.—

Lecz nie tu koniec twoich godnych pieśni czynów;
Nie jeden ci wojownik zazdrości wawrzynów!
Pod Lwów, Halicz, Trembowlę, mury Jarosława,
Poprzedza cię zwycięzko twojéj broni sława;
Nie zastraszy cię wrzawa ni oręża szczęki;
Śmiertelne ciosy z własnéj posyłałaś ręki;

Na czele dzielnych hufców z strasznéj grzmisz jan-
czarki,
Wpadasz na nieprzyjazne dumnych Węgrów karki,
Zwyciężasz!— a kierując sama wojny styrem,
Pokazujesz kobiétom jak być bohatyrem.—
Cześć tobie!— ciebie nasze błogosławią panny,
Że im nie trza przykładu francuzkiéj Joanny.—

. . . . . .

Czy widzisz na tej urwisku opoki
Co dźwiga nad jeziorem swój szczyt pod obłoki
Siedzi i śpiéwa kobiéta,
Przy niej para aniołków dzikie kwiatki chwyta.

Przebóg! niebaczny chłopczyna,
W nieszczęsnéj godzinie,

Gdy się po urwiskach wspina,
Zleciał w przepaść— i ginie!...

Matko! co czynisz!... wszak to drugie dziecie...
Nieszczęsna! jużeś nie na naszym świecie!
Jużeś lotem błyskawicy
W bezdenne skoczyła tonie,
I, jak w obrazie Bogarodzicy,
Tulisz dziecinę na martwém łonie.

Śmiertelny! uderz przed kobiétą czołem,
Matka jest żywym na ziemi aniołem.—

XXXII.

SKARGA.

Kocham dziéwczę piękne jak majowy dzień;
Ale ona nie posłyszy smutnych moich pień;
Bo w wysokim dworze pieśni nie słuchają,
Bo w wysokim dworze biédnych nie kochają.

A ja cichą łzą
Zawsze mówię z nią,
I co wieczór rzewna duszy mej piosenka,
Płynie na wietrzyku lubéj do okienka.—

Kto w wysokim dworze swą dziewczynę ma,
Temu znana zła godzina, znana gorszka łza,
Temu dni w żałobie, dni i nocy płyną,
Ach, kto sam ubogi, tęskni za dziewczyną.
Słychać struny brzęk,
Jej piosenki dźwięk;
Darmo snem nadziei serce łudzi czucie,
Ach, nie moje imię w jej zabrzmiało nucie.

XXXIII.

RYBAK.

BARKAROLA Z WŁOSKIEGO.

W MIARACH MUZYCZNYCH DO MELODYI TEICHMANA.

Zawsze nim wstaną zorza,
Rzuciwszy chatkę moją,
Przy bladém gwiazd światełku,
Ja płynę już na toń:
Lecz żegnać to co kocham,
Ach, to nad siły me.

Łodzi ma, ty nie porzucaj
Nigdy lubego brzegu;
Żeglarz niech grzany chwałą,
Wręcz burzom stawi czoło,
Ja zawsze tu zostanę,
Zbyt piękny Włoski kraj.
Italia! Italja!

Tyle, ach, gromów czeka
Na morzu nas, na morzu;
A sercu które kocha,
Nie błyśnie nigdy dzień.

XXXIV.

ROZŁĄCZENIE.

Co twe serce, ulubiona,
Tkliwie roi w tej godzinie?
Czy to myśl twa rozżalona
Na wietrzyku słodko płynie?

Czy, gdy z piersi mej do ciebie
Tysiąc westchnień się wyrywa,
Gdy na twojéj strony niebie
Tęschne oko me spoczywa,

Czyli, moja ulubiona,
Dumasz o mnie w błogiéj dobie,
I na zachód obrócona,
Wzdychasz, tak jak ja ku tobie.

O! tak pewnie.— Twoje serce
Harmonijnie z mojém bije;
W każdéj uczuć twych iskierce,
Moich uczuć płomyk żyje.

W każdym myśli twej kolorze,
Barwa myśli mej jaśnieje;
W każdym chęci twoich tworze,
Chęć ma widno promienieje.

Sami tylko, sami jedni,
Jak świat długi i szeroki;
Razem szczęśni, razem biedni,
Błogosławim,— klniem wyroki.

Ni rodziców święte ręce,
Ni nas druhów lube dłonie,
Nie przytulą w serca męce,
Na litośném, tkliwém łonie.

Z dwóch dalekich świata końców,
Jak dwie pianki sinéj fali,
Jak dwie iskry górnych gońców,
Zbiegliśmy się na oddali.

I pojrzeliśmy na siebie
Pełnym czucia, wiary, wzrokiem;
Anioł losów naszych w niebie,
Poświęcenia lśnił urokiem.

Odtąd cudem połączeni,
Serca w jednośmy stopili;
W nowém życiu odrodzeni,
Duch pokojem odmłodzili.

Tak w ustroni,— zawsze z sobą,
Dni nam zeszło, ach!— nie wiele;
Błogo!— jak dziecinną dobą,
Gdy bez cienia lśni wesele.

Prędko znikło serc marzenie!
Łzawém okiem się żegnamy;
Gromem błysło przeznaczenie,—
W oddaleniu usychamy.

Taka naszych treść kolei;
Luba! tyś mém niebem była,
Kiedy w słotnéj trosk zawiei,
Zła nas gwiazda rozdzieliła.

I tak długie dni się wleką;
Ty bezemnie, ja bez ciebie;
Aż nam mroczne mgły przecieką,
Aż zawita świt na niebie.

Nie płacz, nie płacz, moja droga,
Może nam się dzień rozśmieje,
Chociaż jeszcze blask u Boga,
Już nam zorza czerwienieje.

Z jej rubinów słodko wróżę,
Że radości łzę wysączę:
Znikną śniegi,— błysną róże,
I ja z tobą się połączę.—

XXXV.

SOBIE NA IMIENINY.

Otóż i jeszcze w czasów niezwrotnym potoku,
Upłynąłeś mi jeden życia mego roku!
A z tobą ileż westchnień tajemnie więzionych!
Ile łez niewylanych, skarg niewymówionych!

Ile szczerych uniesień i uczuć spodziewnych!
Uczuć, w kolej niemiłych, i błogich, i rzewnych.
Ileż wzniosłych popędów i gorszkich omyleń;
Znojów serca, i ducha z losami przesileń;
Ileż utrapień w długim ciężących beześnie,
I kwiatów szczęścia zeszłych,— i zwiędłych tak wcześnie!
Wszystkie te czucia, myśli, cierpienia, uciechy,
Jak liść zeschły porwany przez wichrów oddechy,
Zaniesiony na fale, gdzieś daleko płynie,
I gajom niepowrotny po przepaściach ginie:—
Tak wszystkie owe czucia, cierpienia, radości,
Mknęły na fali godzin,— i znikły w przeszłości.

Z łona ciemnych przeznaczeń, jak rozblask wiosnowy
Z pod zimowych topieli,— błysnął mi rok nowy.

Jakież mnie w nowym biegu czekają koleje?
Czy mi zorza zbawienia błogo zajaśnieje,

13 Sierpnia

Czy gromami brzemienne kojarzą się chmury,
Zkąd wyrok pognębienia mam słyszéć ponury?
Czy na mnie miłość czeka z tkliwém,słodkiém łonem?
Czy przyjaźń ze współczuciem bratniém, poświęconem?
Czy może zawiść podła, zdrada, złość zaciekła,
Gotują dla mnie noże i trucizny piekła?
Czyliż choć jedna rozkosz napoi to serce?
Czy ma bić w ciągłych znojach, w ciągłéj poniewierce?

Zedrzéć losom zasłonę próżno się człek sili;
Oszukuje rachuba, i przeczucie myli.
Zwodzą w ludziach i czynach nadzieje złożone,
Jak marzenia gorączki rankiem rozpędzone.
Niemocen ani jednéj rozkazać godzinie,
Człek nie wié zkąd i dokąd po odmętach płynie.
To tylko co minęło, to jego zdobyczą.—
Zwrócone w przeszłość oczy, lub radośnie liczą
Złote pasma i wieńce powodzeń różane;
Lub zamglone smutkami, cierpieniem znękane,
Obiegają po wspomnień niemiłych zakole,
Ciernie i głogi losów, cierpkie serca bole.

Tak na wątłéj doświadczeń przelotnych posadzie,
Człowiek nowego gmachu rusztowanie kładzie,
Aby ledwo zaczęty, znowu w gruzach runął,
I znów gorszką mgłą żalu zrenice zasunął.

To jakże?— więc z niewieścim płaczem w serca męce,
Trzebaż losem złamane już opuścić ręce?
I jęcząc na wyniosłych celów rumowisku,
Trzebaż gnuśnieć, jak więzień na świata igrzysku?

O! nie na taką hańbę, dziecię Ukrainy,
Kołysały mnie pieśni i duszę poiły;
I nie na to chłopięciem roiłem wawrzyny,
I nie na to kipiące czuję w iskrach siły.
Jeszcze zawód daleki! jeszcze ufać można;
A choć przestrzeń ciernista, bezdzienna, bezdrożna,
Jeszczeż ból nie skonanie;— przy Bożéj pomocy,
Trzeba się bić do światła śród przeznaczeń nocy.

Witaj więc nowy roku, nowych walk początku!
Chociaż twoich tajemnic nie dociekam wątku,
Witam cię, łzą wylaną na zgliszczach przeszłości,
I przyjaznym uśmiechem zmężniałéj ufności.

Tak żeglarz co nie mało burz wytrzymał w życiu,
Stanąwszy na tym brzegu gdzie kwilił w powiciu,
Westchnie, i pocznie liczyć wszystkie trudy, znoje,
Straszne z morzem zapasy, tęschnoty i boje,
I patrząc z rozczuleniem na szczęście oracze,
Zatraconych lat swoich serdecznie zapłacze...
A wtém 'go nowe hasło gdy uderzy nagle,
Otrze łzy— wezwie Boga— i znowu pod żagle!—

XXXVI.

OSTATNIE WIDZENIE SIĘ.

Z ANGIELSKIEGO.

„Więc znowu na przeznaczeń tajemniczych fali,
Znowuśmy się znaleźli, znown się spotkali.
Lecz gdy nam nigdy serca nie biją wzajemnie,
Nacóż, nacóż się mamy spotykać daremnie!

Do twego łoża śmierci wezwiéj twych wybranych,
Od tylu lat od ciebie tak czule kochanych;
Niech te oczy posłanie twoje łzami roszą,
W których tkliwe uśmiechy czytałaś z rozkoszą.
O mnie— tyś nie myślała, kiedy na turniejach
Otaczało cię grono rycerzy zaletne:
Nie myślałaś ty o mnie, gdym w serca nadziejach,
Po nocach duszą w gwiazdy ulatywał świetne.
Serce moje zdziczałe przez wojenne życie,
Zapomniało o wietrznéj, fałszywéj kobiécie.
Sen to już tylko, sen wzgardy i sromu,
O twej miłośnéj niewiary bezwstydzie;
Sen twej młodości pod ciosami gromu!—
Więc zkąd ci teraz mówić o tém idzie?“

Rycerz przeszłe jej błędy tak wyrzucał twardo,
I długi, ciężki miecz swój ściskał dłonią hardą.

— Ona słodko na jego oblicze spojrzała;
Chłodną, zwiędłą, wybladłą rękę swą podała;

Chciała mówić,— lecz na jej ustach konających,
Gasły słowa bez dźwięków z tajń serca idących.
Ach, nic mu nie wzruszyło serca tak głęboko,
Jak w jej słowach bez życia widne duszy bole;
Łagodność rosą czucia zwilżyła mu oko,
A smutek chmurą żalu zawisnął na czole.
Uśmiech jej darmo k'niemu o spółczucie wołał,
Lecz jęków jej nieczule wysłuchać nie zdołał:
Nie latami uwiędła bujna jej uroda;
O nie!,— wiek jej nie złamał;— jeszcze była młoda;
W tych jasnych, rozpuszczonych bez ładu warkoczach,
W tych głęboko zapadłych, już gasnących oczach,
Jeszcze jej młodość luby urok zostawiła.
Jej wybladła i zimna twarz, podobna była
Do posągu, co w grobach z marmuru wyknty,
Mówi niemym wyrazem żalu i pokuty.

„Ta płonąca pochodnia w ręku zakonnika,
Co mi bramy wieczności modlitwą odmyka,

Przed świtem zgaśnie— i ja będę już bez duszy.
Jeszcze jakiś głos pieści błogo moje uszy;
Jeszcze jakąś nadzieją serce me oddycha!
O! niechaj mnie tak srogo twoje nie odpycha!
O! ja się jeszcze muszę dowiedzieć od ciebie
Dopóki nie ulecę do drugiego świata....
Pamięć ma, na zamierzchłém wiosny mojéj niebie,
Ściga marnie przekwitłe młode moje lata!...
Ostatnie myśli moje, w śmiertelnéj kolei,
Byłyby czystszych uczuć, jaśniejszych nadziei....
Chęć próżna... nie, ja mówić nie mogę o tobie...
Nigdym ja nie doznała w żadnéj życia dobie,
Wśród wszystkiego co dusza posiadała moja,
Takiego szczęścia, takiéj miłości jak twoja!"—

Z stygnących ust jej, co się nieznacznie kleiły,
Wyrazy coraz słabsze, cichsze wychodziły.
Rycerz jednak swój oddech w głębi piersi chowa,
Aby jeszcze mógł słyszéć jej ostatnie słowa.

Usłyszał swoje imię,— i na jej posłanie
Rzucił się,—już omdlałą, martwą podniósł głowę;
Spłynęły mu na rękę włosy jasnopłowe,
I widział lat swych młodych kochanki skonanie.

W starym kościele z chorem na zachód zwróconym,
Błąka się cień niepewny po tle okopconym;
Lecz słabe tylko światło wlewa pocieszenie.
Ciemne jodły kryjące wysokie sklepienie,
W tej ciszy, umarłemu świętości dodają.
Na murach co się w smutne postaci składają,
Imiona tylko znajdziesz w śmierci upominku:
A w środku, marmurowy posąg między niemi,
Z rękami w krzyż na piersiach skromnie złożonemi,
Jakby po znojach życia tam szukał spoczynku.

Stary mnich opowiada życia jej koleje,
I kończąc, jak ja teraz, powtarza trzykrotnie:
Smutne tam zawsze, smutne, nieszczęśliwe dzieje,
Gdzie miłości przysięga złamana sromotnie.

XXXVII.

TRZEJ GOŚCIE.

Z ANGIELSKIEGO.

Świat był zimny i smutny, w cieniach grubéj nocy,
W chuci sprośnych zamęcie, w strasznéj złego mocy,
Dopóki, darząc światłem ten okrąg ponury,
Promienni nań trzej goście nie zstąpili z góry.

Najpierwsza *Piękność* przyszła z Idalskiego gaju,
Wzrosła śród rosy kwiatów rozpękniętych w maju.
Przyszła z młodym rumieńcem i niepewnym krokiem;
Przyszła z tkliwém westchnieniem i spuszczoném okiem;
Przyszła z ogniem w spojrzeniach, czołem panująca,
Już nieśmiała, już czuła, już tryumfująca;
Z każdą chwilą odmienna, a zawsze wszechwładna,
Wszędzie siała zwycięztwo jej róż świetność zdradna,
Zarówno podbijała biédne dziecię znoju,
Synów zbytku, i srogich wychowańców boju.
Po kolei zawładła wszelką namiętnością,
Żądzą rozkazywania i bogactw chciwością,
Mędrca i bohatyra widziała u łona,
Cezara żebrzącego, więźniem Salomona.—

Potém młoda *Poezya* rozkwitła,— jej włosy,
W złotych kręgach igrały śród powietrznéj rosy;
Jej oko dziwnym blaskiem strzelało dokoła,
Lecz wzniosła myśl świeciła z przepaski jej czoła.
Cicha jak anioł,— pusta, wesoła jak dziecie,
Żyła śród skał nadbrzeżnych, w dzikich ustroń świecie:

Gdzie wieczna świeżość zwiła Ilion wyniosły,
Najrańsze, najbujniejsze laury dla niej rosły.
Śród Attyckich strumieni, przy morzu Eginy,
Urosł jej duch tragiczny wskrzeszać mężów czyny.
Czasem słodsze jej lira wydawała tony,
Z dźwiękami ksieni rozkosz, Lezbijskiéj Safony.
Gnała po Olimpijskich rumaka wyżynach;
Wieśniaczy flet jej nucił w Doryjskich dolinach;
Jej arfa i jej lutnia o złoconych licach,
Brzmiały śród trzcin Mincyi i w Arnu winnicach;
Nawet na Albionu ostrowie chmurzystym,
Śpiew godny starych czasów płynął w głosie czystym.
A tam gdzie harmonią słowa się ozwały,
Czy gdzie lód wieczny ziębi, czy pieką upały,
Czy gdzie noc zalegała, czyli światłość była,
Dziwnie słodkiéj zarazy szerzyła się siła.
Na strun jej konchy czarodziejskie dźwięki,
Spadły ciężkie okowy z niewolników ręki,
I niezgoda, wichrząca obszarem natury,
Stanęła, słuchać mowy wykradzionéj z góry.

Spojrzę— ognie śpiewaka już były wylane;
Patrzę wokół,— kochanków serca rozerwane;

Oziębłość, nędza, zmienność, cienie śmierci mgliste,
Trapiły głos natchniony i kształty ogniste.
Szukam życia pociechy— i powlokłszy oczy,
Widzę świętą *Pobożność* w dalekiéj uboczy.
Na jej czole spokojném i promiennéj twarzy,
Żadnéj dusznéj choroby ogień się nie żarzy;
Śród przemiennéj kolei życia człowieczego,
Pośród krwawych walk burzy i zbytku złotego,
Spokojnie otrząsała z swej jasnéj osłony,
Szczątki burz miotających świat ten zaślepiony.
Zostawiła dla ziemi uśmiech i westchnienie,
To jej wieczne z wysokiém niebem spokrewnienie.
Jednak chociaż pragnęła tego niebian słońca,
Które mierzy dzień bez łez, bez chmury, bez końca,
Swej świetnéj obecności odbitemi blaski,
Rozlała własny pokój na ziemian niesnaski;
Pokój, co przypowiednią bez granic spoczynku,
Zesłaną duszy z nieba w świętym upominku.

XXXVIII.

ZAZDROŚNY.

Spiéwa słowik na czereśni,
Swéj samiczki woła;
Płynie nuta mojéj pieśni,
Cicha, niewesoła.

Oj! nie darmo słowik śpiewa!
Już on w tajni listków drzewa
Swą samiczkę pieści:
Kiedyż ku mnie, psotko mała,
Sukieneczka twoja biała,
Słodko zaszeleści?

Tam w rozdole pod wierzbami
Jasny strumień brzęczy:
A me oczy płyną łzami,
A me serce jęczy.

Ej! strumieniu srebrnosłowy,
Ciebie miesiąc jasnogłowy
Pieści i całuje:
Mnie choć smutki zakłopocą,
Moje serce dniem i nocą
Samo pokutuje.

Tam w rozdole, przy strumieniu,
Błyszczą kwiatki w wiośnie:
A mój kwiatek zawsze w cieniu,
Nigdy mi nie rośnie.

Rośniéj, rośniéj mi kwiateczku,
Niech w dziewczyny mej wianeczku
Raz cię już obaczę:—
Wtenczasbym, ach, nie żałował,
Żem me serce w żalach psował,
I że teraz płaczę.—

XXXIX.

PIERWSZA SCHADZKA.

(WYJĄTEK).

. . . . . .

II.

O przyrodo! z jakich cudów
Ludzkiéj duszy świat budujesz!
Jak tło życia dziwnie snujesz!—
Nić rozkoszy— pasmo nudów!

Żądz niekarnych wrzący szałem,
Za rozkoszą młodzian bieży;
Że w niej niebo, ślepo wierzy,
Zwodnym olśnion ideałem.

I stęschniwszy wiek pragnienia,
Przeroiwszy mar tysiące,
Tęcz nieziemskich barwą lśniące...
Chwyta, w burzy uniesienia

Iskrę z nieba!... aż to złoto!—
Znów, choć złota chce połysku...
Aż ma tanie cacko w zysku;—
Naostatek lód i błoto!

I połknąwszy łzę piołunną,
W blask omamień już nie wierzy;
Skąpą piędzią żądze mierzy,
Zna, że rozkosz złudzeń trunną.—

Jednak, chociaż cel tak zwodny,
Tak niemile krótkotrwały,
Bodaj wiek, wiek pragnąć cały,
W lube sercu czary płodny!

Bo i słodkoż-to dla duszy
Snuć miłośnych dumań tkankę,
Za świat cudów mieć kochankę,
Nim ułudę prawda skruszy.

Szczęśliw! komu los nie skąpił
Długo, długo schnąć w pragnieniu:
Najszczęśliwszy!—w żądz płomieniu
Kto tajemnic nie dostąpił!

III.

Jedynasta! wskróś zadrżałem:
Nie, już dłużéj nie dosiedzę:

A więc lisem sennych śledzę,
(Bo w komnacie nie sam spałem).

Ich oddechy śledzę uchem,
A rozwarta ma zrenica
Tkwi w najmniejszym prążku lica...
Ufam!—światło niszczę dmuchem.

Obnażywszy stopy cało,
Tak cichutko pomykałem,
Że aż dziwno, tak słyszałem
Jak mi żywo serce drgało.

Nużby wrzaskiem drzwi zdradziły?—
O! kto kocha i kto kradnie,
Gębę zdrajcom zamknie snadnie,—
Pchnąłem prosto, z całéj siły.

Już na dworze.—Odetchnąłem
Tchem rzeźwego nocy chłodu,

I w pachnące ćmy ogrodu
Mknąłem w prawo— i zniknąłem.

IV.

Nocy! nocy dumająca!
Dobo wielka, uroczysta,
To żałobna— to gwiaździsta!
Grozą— to rozkoszą tchnąca!

Nie głuszony dnia łoskotem,
Mdłemi błyski nie ściśniony,
Duch, twém skrzydłem uwolniony,
Krąży, buja pełnym lotem.

I w swobodnym, bujnym locie,
Co ma skarbów, wydobywa,
I po drodze swej rozsiéwa
Niepojętych cudów krocie.

Plan straszliwéj bitwy tworzy,
Co, nim ranek się zrumieni,
Starą postać globu zmieni,
Pełniąc tajny wyrok Boży!

Wszech-ogromu tajnie bada,
Pędom światów prawa pisze;
I co zbadał w nocnéj ciszy,
W dzień stu wiekom rozpowiada!

Lub przyrody snem natchniony,
W wieszczéj cudnych snów pogoni,
W srebrnosłową arfę dzwoni,
I nieśmiertne leje tony!

Już po gajach błądzi, tkliwy,
Szuka czulszéj swej połowy!
Z nią, śród cieniów z wonią zmowy,
Tak miłośny! tak szczęśliwy!

Nocy! matko wielkich zdarzeń!
Wielkich natchnień ty rodzico!
Błogosławięć! o świątnico
Mych serdecznych, dusznych marzeń.

. . . . . .

XL.

STARY TELESKOP.

(Z ANGIELSKIEGO).

(Wiersz śpiewany w wigilią Nowego Roku 1840 przez całą rodzinę J. Herszla, podczas uczty danéj w rurze rozebranego na pomnik sławnego Teleskopu).

Siedzimy w teleskopie starym zgromadzeni,
Cieniami lat minionych wkoło otoczeni,
Śpiewamy mu *Requiem* raźno i donośnie,
Gdy stary rok już kona, a nowy nam rośnie.

CHÓR.

Weselmy się, śpiewajmy wszyscy na przemiany,
Aż się wstrząsną i dźwiękną teleskopu ściany.

Przez lat z górą pięćdziesiąt szydził z wichrów mocy;
Nie zgiął wzniosłéj budowy żaden wiatr północy;
Teraz stoi zwalony tam gdzie stał wysoko,
I w głąb' nieba słał w zwiady swoje jasne oko.

CHÓR.

Weselmy się, śpiewajmy wszyscy na przemiany,
Aż się wstrząsną i dźwiękną teleskopu ściany.

Są cuda żyjącemu wzrokowi nieznane;
Co tylko w tém zwierciadle były malowane,
Których pamięć człowiecza nie pojmie, nie zliczy,
I z któremi się tylko znał ich budowniczy.

CHÓR.

Weselmy się, śpiewajmy wszyscy na przemiany,
Aż się wstrząsną i dźwiękną teleskopu ściany.

Tu nasz ojciec po nocach czuwał zamyślony,
A wzrok jego przedziemskim dniem był oświecony;
Miłość mu siostry w pracach świeciła wiekowych,
I tak on miał widzenia światów złotogłowych.

CHÓR.

Weselmy się, śpiewajmy wszyscy na przemiany,
Aż się wstrząsną i dźwiękną teleskopu ściany.

Złożył go potém lekko po trudzie zimowym,
By swą siłę olbrzymią wzmocnił w blasku dniowym;
A czas, co swoim zębem stal hartowną trawi,
Ma tu zdobycz, nad którą długo się zabawi.

CHÓR.

Weselmy się, śpiewajmy wszyscy na przemiany,
Aż się wstrząsną i dźwiękną teleskopu ściany.

Jednak go pożyć musi, i czas go pożyje;
Rozpadłe szczątki kruszcu gruba rdza pokryje;
Lecz wieki choć po wiekach przemkną niezmęczone,
Gruzy jego niekształtne będą zawsze czczone.

CHÓR.

Weselmy się, śpiewajmy wszyscy na przemiany,
Aż się wstrząsną i dźwiękną teleskopu ściany.

Nowy rok się przybliża a stary upłynął;
Bóg nam daj tak szczęśliwy jak ten który minął;
(Tylkoż deszczu trochę mniej, a cóś więcéj słońca,
Boby nas katar z kaszlem trapiły bez końca.

CHÓR.

Weselmy się, śpiewajmy wszyscy na przemiany,
Aż się wstrząsną i dźwiękną teleskopu ściany.

Daj Boże aby wieńcem tego zgromadzenia
Była miłość i zgoda bez żadnego cienia;
I aby jeszcze nasza, po lat piędziesięciu,
Brzmiała pieśń w teleskopie w przyjaznem objęciu.

CHÓR.

Weselmy się, śpiewajmy wszyscy na przemiany,
Aż się wstrząsną i dźwiękną teleskopu ściany.

XLI.

PRZYPOMNIENIE.

Pomnisz-li jeszcze te czasy,
Woni, słodyczy i krasy,
Kiedy w serdeczném kochaniu,
W lat naszych młodych zaraniu

Pierwsząśmy rozkosz poznali,
I tak się szczerze kochali?
Gdyśmy po szczęście bez winy,
W kwietne, jedwabne doliny,
W pola biegali i lasy;—
Pomnisz-li jeszcze te czasy?

Pomnisz-li owe tęschnice
Długie, miłośne, jedyne,
Gdyśmy na słodką godzinę
Smutnie czekali zdaleka,
Bojąc się złego człowieka?
Wtenczas miesiąca nam lice
Tęczą zbawienia świeciło,
Serca w odwagę zbroiło,
Wtenczas— ach! pomnisz te chwile
Wyjścia, spotkania,— i tyle!....

Pomnisz-li te uniesienia,
Te pocałunki palące,
Słów czarujących natchnienia,
Długie uściski gorące,

I wszystkie owe ułudy
Serc nieskalanych zepsuciem,
Kiedy nowemi nas cudy,
Uczuć najgłębszych wysnuciem,
Każda pieszczota poiła,
A dusza niebo roiła.

I tak nam wiosny miesiące
Szczęścia płynęły ruczajem;
Łąki i sady kwitnące
Prawdziwym były nam rajem;
Błogosławionéj śród wioski,
Światu ni ludziom nieznani,
Wiedliśmy żywot bez troski,
Tkliwą przysięgą związani.—
Ach, czy pamiętasz te czasy
Woni, słodyczy i krasy?

Zagrały wichry jesienne,
Gaj się przyodział żałobą,
Ryknęły chmury brzemienne,—
I my już luba nie z sobą.

Wichry nas losów porwały
W swoje przesilne uściski:
Sen nasz ów złoty— szczerniały!
Jeszcze tak świeży, tak bliski!
W cudzéj gdzieś stronie żyjemy,
I nic o sobie nie wiemy.

I płynie chwila za chwilą,
I płyną lata za laty,
Nowi nam ludzie się milą,
Nowe już ciernie i kwiaty.
W zgiełków światowych rozterce,
Stygnie ach! dusza zmężniała,
I nowych związków już serce
Zamieć śnieżysta zawiała;
Ni to my w piekle ni w niebie,
Biedzim się w życia potrzebie.

Jednak śród złudzeń rozgromu,
Ulgi szukając żałobie,
Płynę myślami do domu,
Ku owym gajom,— ku tobie!

Dumam o tamtéj ach! wiośnie,
Wzywam cię szczerém węstchnieniem,
I pytam ciebie żałośnie
Słodkiéj rozmowy rojeniem:
Pomnisz-li jeszcze te czasy,
Woni, słodyczy i krasy?

I tak to może upłynie
Chwil, godzin, latek nie mało;
Aż wszystko, wszystko przeminie,
Co nam tak serca wzruszało.
Krocząc wciąż burza za burzą,
Wszystko co tkliwe— rozwieje!
Pamięć tumany zakurzą,
Wszelki kwiat czucia— zmarnieje!
Życie nas złamie, utrudzi,
I nic już serca nie zbudzi!

Jednak śród mrocznych powodzi,
Jak złoty promień przeszłości,
Wybłyśnie!— ducha odmłodzi
Wspomnienie pierwszéj miłości.

Wszystko— tak— wszystko przepadnie!
Lecz pamięć pierwszych rozkoszy,
Co w sercu tli się tam na dnie,—
O! czas jej nie tknie,— nie spłoszy:
Z postacią miłéj spleciona,
Kwitnie tam wiecznie zielona.

Toteż, ach, w chwile łaskawsze
Jeśli się kiedy spotkamy,
Jak wówczas— zawsze— o! zawsze
Będę dla ciebie ten samy.
Czas tamtych dźwięków nie zgłuszy,
Duszą przemówię do duszy,
Łzą cię wdzięczności powitam,
I stary druh cię zapytam:
Pomnisz-li jeszcze te czasy,
Woni, słodyczy i krasy?—

DODATEK.

ANIELA Z BADENU.

POWIASTKA Z PODAŃ XIV WIEKU.

I.

Każdy wié że szlachetny Fryderyk Margraf Badeński, miał córę prześlicznéj urody, któréj dziwili się okoliczni panowie, a na którą bez rumieńca zazdrości spojrzeć nie mogły piękne panie i młode dziewice. Czy to usiadła pośród rówiennic grona, za huczącym wesołością stołem biesiady, czy pląsając na śnieżnym wierzchowcu między łowcami, ścigała w kniejach pierzchliwą łanię,

czyli dostojne zajęła miejsce na pysznym turnieju, wszędy Aniela błyszczała jak jutrzenka między gwiazdami, Aniela odbierała najpierwsze hołdy najszlachetniejszych panów, Aniela królowała wzrokom i sercom najwaleczniejszych rycerzy. Tak się nazywała owa młoda piękność kwitnąca w starożytnym zamku Badeńskim. Zaledwie osiémnastą powitała wiosnę, już sława jej wdzięków szeroko i daleko rozgłosiła się, nietylko nad brzegami Renu, na zamkach licznych lenników Margrafa, ale i w krajach sąsiednich. Dzielni rycerze od południa i północy, możni udzielni władzcy z nad Rodanu i Dunaju, przyjeżdżali w pysznych orszakach, wyprawując po drodze dla rycerstwa i dla mieszczan biesiady, okazałe ochoty i harce, aby dalekim rozgłosem swoich hojności ujmować sobie przychylną myśl Badeńskiéj dziewicy.

Pysznił się stary dzielny Margraf blaskiem urody jedynego dziecięcia, radowało się serce matki przyszłą świetnością losu swojéj Anielki. Ale nie zawsze, nie zawsze piękne oko jest zwierciadłem lękliwéj myśli dziewiczéj! nie zawsze srebrny głos serdeczny tłumaczem tkliwego czucia; nie zawsze, o! nie zawsze na krasnych różach panieńskiego lica kwitnie łagodność, słodycz, przeczystość anielskiéj duszy! Napróżno w długich, zakochanych

spojrzeniach, macierzyńskie oko, szukało w córce przypomnienia, wskrzeszenia ubiegłych lat swoich wiośnianych. Dumna, wojenna krew margrafów Badenu płynąca w żyłach dziewicy, uczyniła z niej sercem i duszą żywy wizerunek wyniosłego rodem i dzieły starego ojca. Aniela była młoda i piękna;— ale Aniela wiedziała że jest jedyną córką przemożnego władzcy Fryderyka, przed którym korzyły się w prochu czoła najszlachetniejszych lenników; Aniela wiedziała że rozległe włości, że nieprzebrane skarby będą jej wianem; Aniela wiedziała, aż nadto niestety wiedziała, że jest najpiękniejszą z dziewic i pań królujących gorącym sercom rycerzy. Biada, o! biada wam tkliwi młodzieńcy którzyście z odległych krain, rzuciwszy rodzinne ściany i błonia, przyszli po łaskę dumnéj dziewczyny. Szlachetna krew wasza co tyle razy hojnie płynęła na poświęconéj ziemi w zapasach z bisurmanem, napróżno tutaj w ostrych gonitwach leje się na cześć surowéj dziewczyny. I pieśni wasze głęboko płynące w tkliwe serca waszych nadobnych kasztelanek, głucho odbijają się tutaj o zimne serce Anieli z Badenu; wzgardzone, wyśmiane, giną niesławnie między cudzemi ścianami, jak jesienny poświst wichru między zeschłemi burzanami stepów Scytyjskich. Miecze

wasze wyszczerbione, kopije pokruszone, struny bardonów waszych pozrywane, skarby strwonione; a wy ze smutném, pochyloném czołem, wracacie w czarnych wieżycach waszych ukryć wstyd i gniew zawiedzionych serca nadziei. I takto wyniosła piękność długo urągała się rycerskim zapałom szlachetnéj młodzi: wielu niosło jej w ofierze starożytne, sławne wojennemi dzieły zamki i grody, niepokalane tarcze herbowne, i ramię niezłomne: wielu stawało do zawodu, przechodząc najtwardsze proby na skinienie wymyślnéj kasztelanki: a nikt jej przyjaznego uśmiechu nie pozyskał,— nikt serca nie wzruszył.

II.

Był na zamku Badeńskim gość ze ślicznéj Prowanckiéj krainy, młody Gaston, możnych rodziców jedyna nadzieja, starożytnego rodu szczep ostatni.— I on przybył ubiegać się z innemi o rękę dumnéj Anieli, a młode serce wszystkiemi siłami przylgnęło do czarownéj dziewicy. Ustrojony wstęgą jej barwy, już nie jednego w zaciętym boju pokonał wroga, nie jednego w świetnym turnieju zwyciężył przeciwnika. Piękny męzką odwagą a bujną urodą, młody Gaston był najśliczniejszym kwiatem Prowanckiego rycerstwa, chlubą mężów, kochankiem myśli panieńskich. Od czasu jak w świetnym orszaku przybył na dwór Margrafa, w ciągłym pasmie uczt, igrzysk i gonitw, już nie nad jednym

tryumfował spółzawodnikiem. Gdzie się tylko ukazał, przyjazne uśmiechy i tajemnicze szeptania zdawały się witać w nim przyszłego męża Anieli z Badenu. Bo i trudnoż było, acz płochéj i pysznéj Anieli, być obojętną na tyle krasy, odwagi i miłości w Prowanckim młodzieńcu. Serce jej już już miało się skłonić pod słodką władzę kochania; ale niestety! pyszny umysł jeszcze nie był syty okrutnych igraszek z licznemi zalotniki. To biadaż tobie, biada dzielny młodzieńcze!— biada! stokroć biada tobie wyniosła dziewico!

III.

I zdarzyło się że starych Rzymskich chcąc skosztować rozkoszy, rycerze i panie zasiadły na krużgankach przypatrywać się srogim zapasom wychowańców afrykańskich pustyń, dzikich lwów i tygrysów. Już w około tkliwe serduszka piękności biły obok swoich wiernych rycerzy; miły szmer serdecznych rozmów, jak ciche wonne ciepło kwiecistych sadów przed ryczącą burzą, poprzedzało krwawe harce dzikich bestyj mordem dyszących. Już na najpierwszém miejscu zasiadł Badeński Margraf, mając po jednéj stronie dostojną małżonkę, a po drugiéj prześliczną swoją Anielę: tuż przy nich grono wybranéj młodzi, na któréj czele jaśniał młody Gaston, w ostatnim turnieju

uwieńczony zwycięzca. Różnobarwe powiewne pióra i kity u hełmów rycerzy, mięszając się z białemi zasłony niewiast i kolorowemi ich wstęgami, na które łagodny wietrzyk dmuchał swawolnie, cudny sprawiały widok: serce rosło patrząc na to, jakby pędzlem czarodzieja, w stropach powietrznych odmalowane koło.

I skinął Margraf,— uciszyło się grono, olbrzymi głos herolda przedarł powietrze, a oto ogromna lwica ze swojemi lwięty, wypuszczona z żelaznéj klatki, dzikiemi pląsy krąży po warownym zakole. Nowością widoku zadziwione zwierzę, zatrzymuje się chwilę: srogi wzrok macierzyńskiéj wściekłości i trwogi przelatuje jak błyskawica dokoła, i mierzy niebezpieczeństwo; jeżą się włosy, straszliwy przeciągły ryk zagrzmiał w powietrzu, a zimny strach pada na serca niewieście.

I znowu Margraf skinął,— obwołał herold, a oto, wściekły tygrys wypada gotów do rzezi. Już wzrokiem śmierci przeszył bezsilne ofiary; tuli się do boku matki drobne plemię królewskie; rycząc, wyjąc, rozdzierając się w sztuki, walczą rozsrożale, rozjadłe pustyń potwory. Przerażone nieznanemi dotąd głosy echa okolne, wtórzą straszliwe krzyki dzikiéj boleści i srogości. W niemym utopieni podziwie, z szeroko rozwartemi wzrokami i

usty, patrzą na lejącą się w okrutnym boju krew rycerze; bledną, omdlewają miękkiego serca słabe niewiasty.

I znowu herold wydał znak trzeci: otwarto nową zaporę, zajadła hyena otrąbiwszy przeciągłém wyciem hasło bojowe, już w szrankach, już się na biédne rzuciła lwiątka. Szaleje w rozjadłéj rozpaczy matka, jedno jej dziécię już rozpłatane na sztuki, napoiło krwią swoją rozjuszonéj dziczy spragnione gardziele;— o drugie jeszcze się nierówna walka toczy między zbestwiałemi olbrzymim mordem wrogi.

Tu piękna Aniela, obracając mowę do Gastona, rzeknie głosem pieszczonym:—„Widok śmierci tych niewinnych zwierzątek zbyt jest dla mnie okrutny; rycerzu! wszak mi przysiągłeś wszelką moją wolę święcie wypełnić; znijdź więc w szranki, a odnieś mi żywe jeszcze lwiątko:—oto nagroda“— i białą, drżącą podała mu rękę. Tak niespodzianym napadnięty rozkazem, wzdrygnął się młodzian; powstał, i po jednéj chwilce żartkiego namysłu, postanowił. Więc odepchnąwszy z szyderstwem podaną rękę, zimnym i surowym głosem odparł dziewicy:—„Wybacz piękna pani, że daru tak drogiego przyjąć nie mam ochoty; niech go weźmie kto

zechce; alem jest rycerz prawy, i danego słowa nawet niegodnéj, podle nie złamię.“—To rzekł, i pędem błyskawicy zbiegłszy z krużganku, stanął między potwory, jako nieszczęsna ofiara srogiego żartu płochéj kobiéty.....

Jak się na nieszczęśliwego rzuciły społem rozjadłe pustyń potwory; w jak okropnych katuszach mężnie konał młodzieniec; język to ludzki nie wypowié; a i niegodzi się nawet człowieczego serca trwożyć takiém mówieniem.....

Ogromna wrzawa mężów, żałośne skargi i łkania niewiast, straszne przekleństwa i wołania o pomstę do nieba, było pogrzebną muzyką dla Gastona, oblubieńczą puścizną dla kochanki.

Widowisko przerwane; wszyscy ze zgrozą w sercu opuścili swe miejsca, i rozchodząc się, nie szczędzili obelg i złorzeczeń Anieli.

O nieszczęśliwa dziewico! dla czegoż różane usta twoje wyrzekły te słowa? lepiéjby tobie było gdybyś ohydną strasząc szpetnością, nie była nigdy słyszała jednego słowa miłości! Wracasz przelękła i ciężko, ciężko smutna; perłowe łzy sączą się z twoich dużych czarnych oczów na wybladłe jagody; pierś podnosi się głębokiém westchnieniem; nie tobie spokój! nie tobie! będziesz za zło-

cistemi kotary na miękkich wezgłowiach przyzywała snu słodkiego; uśniesz, uśniesz! a nie wiesz jak straszne sądy Boże czekają ciebie u snu podwoi!

IV.

Długo po obszernéj komnacie ciężkiemi przebiegając kroki, długo surowy Margraf wyziewał gwałtowne gniewy i cierpkie wyrzuty, gromiąc wyniosłego serca córkę jedyną. Długo strapiona Aniela, korząc się przed gniewem rodzica, stała w nieméj postaci, tłumiąc niewczesne westchnienia, i ciche łzy roniąc żalu próżnego. Ale stary Margraf, choć szczerze potępiał srogie dzieło swojego dziecięcia, zbyt był dumny ażeby światu wyznał tajne ducha skrytości. Więc milczeniem pokrywając krwawe widowiska zdarzenie, i w ochoczéj chcąc szukać zabawie roztargnienia zachmurzonym myślom swojego dworu, zapowiedział na dzień jutrzejszy w pobliskim lesie łowy, które śliczne panie obecnością swoją miały upięknić i ożywić.

Po tak burzliwym dniu nadeszła cicha i posępna doba spoczyuku. Zamkowe światła, przez tysiące szyb różnobarwych niepewnie błyskające, coraz, coraz już gasły; aż też i na wieży poważny dzwon dwanaście uderzeń wyliczył. Ale choć w jednéj komnacie dawno już światło nie mrugało, jeszcze tam słodki sen nie zajrzał. To była komnata Anieli.

Za pysznemi kotary zaległszy z mięciuchnych puchów łoże rozkoszne, niespokojnemi myślami dręczona dziewica, napróżno w błogiém uśnięciu pragnęła zranione czucia zagoić. Uwiadomiona od ulubionéj swojéj powiernicy, wiernéj Małgorzaty, młodéj panny służebnéj, że większa część młodzi rycerskiéj, nie czekając jutra, rzuciła przed nocą zamek Badeński, wzgardziwszy zbyteczną pychą nieużytéj kasztelanki, walczyła razem i z nienawistną myślą obrażonéj miłości własnéj kobiécéj, i z okrutném wspomnieniem gwałtownego zgonu Gastona, do którego niestety! nie pomału już biło jej serce.

Tak błądząc po ubiegłych wrażeń, i przelotnych, już jasnych, już smętnych dziejów serca swojego zakole, dręczyła się niewczesnemi żalami i późną zgryzotą dziewica; a rojąc na przyszłość łaskawsze, czulsze dla swoich wielbicieli zachowanie, zapra-

gnęła duszą słodkich więzów kochania, i kiedy się w tych różanych sferach namiętnego rojenia unosiły skłócone czucia dziewicze, już prawie u schyłku nocy ujął ją pożądany sen w swoje objęcia....

Zawichrzone we dnie myśli, snuły się przed oczami Anieli w niestrojnych marzeń składach dziwacznych. I śniło się jej że otoczona przezroczystym z róż i błękitów obłoczkiem, unosiła się lekko, goniąc za świetną gwiazdą, igrającą w powietrzu nad jej czołem. Już przelatując po wierzchołkach najwyższych drzew, miała ująć swawolną gwiazdę w swe dłonie; ale gwiazda ucieka wyżéj i wyżéj, a serce bije i dusza pragnie coraz to żywiéj. Już na szczytach zamkowych dachów, już na krawędzi wyniosłych wież starowiecznych; wyciąga drżące ręce, a gwiazda zawisnąwszy chwilę tuż nad jej głową, znowu daleko, daleko!

Ze ściśnioném sercem, w szalonéj pogoni szybuje jak cień przez powietrze, to znów po grzbiecie olbrzymich Alpów bieży jak żywa gazella, i już stanęła u kresu ziemskiéj wyżyny. Wyciągnęła obie ręce, i oczy błagające wzniosła do góry, ale gwiazda, błysnąwszy pełném światłem przed jej oczami, nagłym strzeliła lotem do góry, i znikła w niezgłębionéj przestrzeni....

I śniło się Anieli że strącona ramieniem wichru ze szczytu góry, leciała na dół w czarne przepaści tysiącem śmierci ziejące. Wlepione w coraz bliższe otchłanie jej oczy, zasuwały się biélmem skonania, i w sercu jeszcze żywém ujęta strachem krew lodowaciała.... Wtém się znalazła w objęciach nieznanéj sobie dobroczynnéj istoty, co otoczywszy ginącą silném ramieniem, i bezpiecznym w powietrzu lotem przebywszy z nią drogę nie zwykłą, złożyła ją na lubych trawnikach rodzinnych. A oto w klęczącéj przed sobą postaci ujrzała przecudnéj urody młodzieńca, wpatrującego się w nią wzrokiem do serca idącym; nieznanéj dotąd słodyczy płomień błogo płynął w jej żyłach, i uczuła się do tajemniczego wybawcy ciągnioną wszystką mocą władzy miłośnéj.... I śniło się Anieli że w pysznéj świątyni klęczała na stopniach ołtarza obok lubego młodzieńca, sędziwy kapłan wymawiał święte słowa ślubnego błogosławieństwa, tłumy pobożnych chrześcian zalegały wnętrze kościoła, poważny śpiew, łącząc się z uroczystemi tonami organów, brzmiał dla niej weselem. A kiedy po skończonym obrzędzie podniosła trwożliwe oczy na klęczącego obok kochanka, ujrzała ze zgrozą stojącą przed sobą straszliwą larwę piekielną, czerwonym płomieniem ziejącą. Ucichła muzyka, zagasły światła, znikł kościół,

grube ciemności otoczyły Anielę, tylko straszne oblicze oblubieńca gorzało piekielnym ogniem, i słychać było jakby jęki cierpiących w katuszy, brzęk kajdan i zgrzytanie zębów. I przejęta śmiertelną grozą dziewica, upadła na twarz z krzykiem rozpaczy.... a wtém ocknęła się, przyjmując do serca jako balsam zbawienia śpiewanie czujnych kurów, co u stóp zamkowéj góry pracowitą czerń budziły. Opuściwszy złowrogie łoże, acz w jednéj koszulce, wybladła od strachu, żegnała się po wielekroć piękna księżniczka, i upadłszy z pokorą na twarz przed poświęconym w Rzymie krucyfixem, tuliła do bijącéj gwałtownie piersi relikwie świętych, i modliła się gorąco.

V.

Zaledwie pierwsze promienie powstającego ze snu słońca pozłociły zielone korony gajów i wyniosłe szczyty Badeńskiego zamku, już księżniczka Aniela ze swoją wierną Małgorzatą, opasane do koła całym przepychem przyrody, oddychały świeżością krajobrazu który się u stóp góry zamkowéj roztaczał. Długo Aniela chciwym wzrokiem czułości napawała się tą niewinną rozkoszą, obudzoną w czystéj duszy przez czarowne widoki okolicznych lasów, gór i szerokich kwietnych rozłogów, kiedy zmięszany odgłos trąb i tentent niecierpliwych rumaków przerwał jej zamyślenie, przypominając chwile wyruszenia na łowy.

Tymczasem odwieczne lasy Iburga, brzmiały od

rana odgłosem mosiężnych rogów, donośném graniem ogarów i ochotnemi okrzykami łowców, goniących pierzchliwe łanie, wielkorogie daniele i sarny żartkolotne. Przez dzień cały zabawiali się łowami Badeńskiego dworu panowie, w towarzystwie pięknych pań, między któremi błyszczała cudna księżniczka Aniela.

Sute biesiady, stare wino z zamożnych piwnic badeńskich i zapał myśliwskiéj ochoty, wygładziły prędko z pamięci niemiłe zdarzeń wczorajszych wrażenia: chyżo na skrzydłach wesela płynęły godziny, i już się słońce miało ku schyłkowi, a rozpierzchniona po niezmiernych kniejach i borach drużyna, nie zgromadziła się jeszcze tam, gdzie stary Margraf otoczony już połową grona, śród hałasów i śmiechów, brzęku puharów i pieśni ochotnych, czekał na drugą połowę z wieczorną biesiadą i hasłem do odwrotu.

I zdarzyło się, że za wiatronogim zapędzona rogaczem piękna księżniczka, znalazła się śród czarnéj puszczy sama jedna, tylko w towarzystwie młodéj Małgorzaty, swojéj nieodstępnéj towarzyszki. Słońce już prawie gasło za olbrzymią ścianą góry Iburga, ogromne dęby i sosny coraz posępniejszym otaczały się cieniem, a konające w odległéj dali głosy myśliwskich rogów, już niemogły bié-

dnym zabłąkanym wskazać miejsca ostoi. Wtém nagle z za leśnéj gęstwy wysunęli się ku nim na czarnych dzikich rumakach dwaj jezdni; niesłychana trwoga ujęła nieszczęśliwe dziewczęta jakby żelaznym szponem za serca; a ich różane usta, wybladłe i drżące od strachu, jednego słowa wyrzec nie mogły.

Nieznajomy rycerz i jego młody giermek, obaj byli bez zbroi, bez godła i hełmów. Odzienie pierwszego było z czarnego aksamitu ze srebrnym haftem, u boku wisiał myśliwski kord bogato złotem nabijany; kapelusik z czerwonego aksamitu podniesiony klamrą cudnéj roboty, ozdobiony koguciemi pióry, okrywał udatną czarnemi kędziorami strojną głowę rycerza, a żółte jelonkowe buty z długiemi złotemi ostrogami, kończyły jego strój wytworny.

—„Dobry wieczór, szlachetna księżniczko,“ rzekł rycerz, zbliżywszy się do wierzchowca Anieli, który dziwnym uderzony strachem, stał nieporuszony i drżący,

Zaledwie Aniela usłyszała dźwięk piérwszego słowa, które do niej przemówił rycerz, i kiedy spojrzała nieśmiało na jego oblicze,— o dziwy! poznała w nim istotny wizerunek owego młodzieńca któremu w śnie tajemniczym małżeńską ślu-

bowała wiarę. Więc zapłoniwszy się mocno,“ dobry wieczór,“ odrzekła cichym głosem, usiłując zwrócić swojego konia.

—„Nie lękaj się niczego, piękna pani; widzę że jesteś zabłąkana; i mnie też rumak uniosłszy, zapędził daleko od śladów rogacza. Wszakże stokroć jestem szczęśliwy że mój los podzielam z panią tak wysokiego rodu i tak przecudnéj piękności.“

—„A ja, rzekł giermek, przysunąwszy się do Małgorzaty,—że mogę ucałować strzemię tak hożego dziewczęcia.“

I ująwszy wodze wierzchowców swoich błędnych towarzyszek, nasi jezdcy ruszyli wolnym krokiem po leśnych bezdrożach. Biédne dziewczątka, jak drżące gołębice pod szponami jastrzębi, nie wiedziały co począć.

Z razu ostry i twardo w ucho wpadający dźwięk głosu rycerza, stawał się coraz milszym i słodszym, przez niewysłowioną udatność jego mowy, tak, że w końcu biédna księżniczka zdawała się słuchać go z rozkoszą, chwytając każde słówko do bijącego serduszka. Jakaś niepojęta siła przykowywała wzrok jej do smagłego lica nieznajomego towarzysza, wpatrywała się weń jakby w ukochane rysy dawno już znajoméj twarzy, połykając chciwą duszą jego długie i wdzięczne mówienie o śli-

cznościach przyrody, o dalekich podróżach po różnych krajach ziemi które zdawał się umieć na pamięć, o pięknych dziełach oręża, o tkliwych przygodach kasztelanek, o gorącém tchnieniu dnia letniego, słodkiéj rzeźwości wieczornéj, uroku cieniów gajowych i o wyglądaniu szczęśliwości nieznanéj; a biédna Aniela, porwana jakby mocą wszechwładnego zaklęcia, nic nie widziała, nic nie słyszała, tylko czarnego rycerza, i zachwyconą duszą cała utonęła w uroku.

I tak przyjechali do stóp wyniosłego *Leisenbergu*, gdzie Aniela postrzegła przepyszny zamek, którego nigdy ludzkie nie widziało oko w tém miejscu. Wysmukłe karbowane wieżyczki z powiewającemi na nich chorągwiami; zaostrzone szczyty, malowane galerye, ganki i strzelnice; wyniosłe w zębach i esach wydziwiające baszty, pyszna wystawa z ostremi łęki, wycinana, wyrabiana jak przezroczysty kołnierzyk kobiécy; a do koła ciemne góry i wspaniały Las Czarny, na który rozległy odkrywał się widok z tarasu przy pozłocie zachodzącego słońca promieni; wszystkie to bogactwo natury i sztuki, zgromadzone w tym tajemniczym przybytku, uderzało zachwytem rozognioną wyobraźnię dziewicy Badeńskiéj.

—„Szlachetna pani! powiedział rycerz, otóż jesteśmy w progach Gusenbachu, a ztamtąd dwa tylko kroki do Baden; tu więc możemy nieco odpocząć i napawać się słodyczą tego rozkosznego wieczoru.“

Tak zagadniona, chciała coś odrzec książniczka, ale rycerz już był na ziemi, i podawał jej z dwornością rękę pomagając zsiąść z konia, bo młoda Małgorzata dawno już nie była przy swojéj pani...

Jakiemiż teraz słowy, jakim językiem opowiém to co zaszło w tém miejscu sumotném? Piękna Aniela i czarny rycerz, długo przechadzali się razem pod gotyckiemi arkadami tego zaczarowanego zamku; potém przeszli do komnat złoconemi adamaszkami i tysiącem jarzących świateł błyszczących, i usiedli blisko siebie na miękkich jedwabiach. Potém rycerz wziął jej obie rączki w swoje gorące dłonie, coraz bliżéj.... coraz bliżéj, patrzał na nią urocznemi oczami węża.

...Niech Bóg zachowa każdą dziewczynę lub niewiastę od takiego wzroku!.... To co się działo w duszy i sercu Anieli, tego żaden ludzki nie wypowié język.... nie śmiała podnieść oczu na strasznego rycerza.... dziwnéj słodyczy i trwogi płomień przebiegał po jej żyłach.... niepojęte upo-

jenie opanowało wszystkie jej zmysły; w namiętnym uścisku miłośnym przylgnęła całą istotą do straszliwego kochanka,— i już była potępiona na wieki!

VI.

W kilka godzin późniéj, kiedy Małgorzata idąc za śladem koni, nadjechała przed tajemniczy zamek, niesłychany widok ukazał się przed jej oczyma. Płomienie czerwone jak krew wybuchały ze spalonych i w gruzy rozpadających się wież i arkad, mury drżały na swojéj posadzie, a przerażający krzyk rozpaczy, zmięszany z serdeczném łkaniem i przeciągłemi jęki, przedzierał się ze wnętrza gorejącego zamku przez straszny szum płomieni i łomot upadających murów. I widziała na najwyższéj wieży, jeszcze nie tkniętéj przeklętym ogniem, czarnego rycerza w czerwonym kapeluszu, powiewającego białą zasłoną księżniczki, która niestety! była jej pogrzebnym całunem. I powstały jakby

z wnętrzności ziemi gwałtowne wichry z ogromnym wyciem i świstem; straszliwy hałas zagrzmiał w powietrzu, i cały zamek rozpadł się w rozdziawionych pod swoją posadą otchłaniach. I znów było cicho i błogo, słodki wiatr dmuchał na drżące liście; woniejące doliny poiły zmysły rozkoszą, a jasny księżyc po ciemnych błękitach wędrował spokojnie.

Kiedy Małgorzata przyszła do siebie po wielkim strachu którym ją ów okropny widok ogarnął, nie było żadnego śladu ani zamku, ani rycerza, ani Anieli; tylko błyszczący w resztkach popiołu złoty z Panem Jezusem krucyfix, który zwykła była nosić księżniczka na szyi, niedotknięty płomieniem, świadczył o nadludzkim losie nieszczęśliwéj,

Tegoż jeszcze roku strapiona matka Anieli wstąpiła do klasztoru którego została ksienią, a stary Margraf Badeński postawił wiele kościołów na chwałę Bogu, którego niedociekłe sądy tak ciężko starożytny dom jego nawiedziły.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Stronnica.

I. Ataman Sawa 1
II. Dumka stęschnionego 24
III. Do E*** 28
IV. Sanna 31
V. Trzy pieśni 34
VI. Piosenka myśliwska 38
VII. (z Lorda Byrona) 40
VIII. Oczekiwanie 41
IX. Do gwiazdki 44
X. Dzień dobry 47
XI. Nasza pieszczota 50
XII. Chwila zapału 52
XIII. Poranek Sielski 55
XIV. Ostatnie słowa 58
XV. Wiwaty 62
XVI. Jakżeś mi prędko upłynął! 67
XVII. Pożegnanie 69
XVIII Rozczarowanie 73

Stronnica.

XIX. Do przyjaciół 76
XX. Dumka Jesienna 81
XXI. Krajobraz 85
XXII. Zachód słońca (z Lamartina) . . 92
XXIII. Słodycze 96
XXIV. Rezygnacya 100
XXV. Do Księżyca 105
XXVI. Dumka przy kominku 109
XXVII. Trzy westchnienia 113
XXVIII. Dobry wieczór 116
XXIX. Do młodéj wdowy 120
XXX. Samotna przechadzka 124
XXXI. Kobiéta (ułomki) 127
XXXII. Skarga 143
XXXIII. Rybak (Barkarola z Włoskiego) 145
XXXIV. Rozłączenie 147
XXXV. Sobie za imieniny 152
XXXVI. Ostatnie widzenie się (z Angiel.) 162
XXXVII. Trzéj goście (z Angielskiego) . . 157
XXXVIII. Zazdrośny 166
XXXIX. Piérwsza schadzka (Wyjątek) . . 169
XL. Stary Teleskop (z Angiel.) . . . 176
XLI. Przypomnienie 181

DODATEK.

Aniela z Badenu (Powiastka) 189

OMYŁKI DRUKU.

Strona.	*Wiersz.*	*zamiast:*	*Ma być:*
13,	6.	sęn	sen
35.	2.	zadwoni	zadzwoni
36.	13.	woła	wołał
36.	13.	Terazj	Teraz
60.	4.	pystyni	pustyni
130.	ostatni	dza się	I zda się
161.	3 od końca.	kończąc	I kończąc

BIBLIOTEKA KÓRNICKA PAN

BIBLIOTEKA KÓRNICKA

138774